Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Marian Butrym

PAJĘCZYNA

ISKRY · WARSZAWA · 1975

1

Pomyślałem, że jednak nie mam poetyckiej duszy.

Właściwie powinienem kontemplować olśniewający, niewiarygodny wprost błękit jeziora, mgliste kształty drzew na przeciwległym brzegu, wyblakły granat nieba albo opalizujące zorzą zmarszczki na w«dzie czy tańczące w rytm fal żaglówki, ufnie wtulone w przystań. Ale nie miałem ochoty na poetyckie wzruszenia.

Być może poeta zauważyłby także nieprawdopodobną gamę kolorów: od ciemnego szafiru do indyga i błękitu, a nawet przedwcześnie pordzewiałe trzciny. Ale który współczesny poeta zerwie się z łóżka o czwartej rano, aby podziwiać takie widoki?

Spojrzałem na zegarek: czwarta dwanaście.

Wszystko dookoła tchnęło spokojem, ciszą i lenistwem. Pomyślałem, że dobrze jest przyjechać na urlop nad mazurskie jeziora. Coś w tym stylu sobie pomyślałem.

Żaden poeta nie umieściłby w tak bajkowej scenerii akcji ponurego dramatu, w którym, chcąc nie chcąc, musiałem grać jedną z głównych ról. Dlatego przyszło mi na myśl, że jednak nie mam poetyckiej, duszy. Trudno ją mieć po ośmiu latach pracy w milicji.

Ale rozważania o pięknie natury pozwalały mi choć na chwilę zapomnieć o obowiązkach i o tym, że istnieją ludzie lekceważący piąte przykazanie. Do zbrodni nie można się przyzwyczaić i nie można się z nią pogodzić. Każda zbrodnia budzi we mnie sprzeciw i każda robi na mnie dokładnie tak samo wstrząsające wrażenie jak wtedy, gdy zaczynałem pracę w wydziale zabójstw. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy, przed ośmiu laty. widziałem zamordowanego człowieka.

Spojrzałem na zegarek. Trochę z nudów, trochę z przyzwyczajenia: czwarta piętnaście.

Niestety, nawet najprzyjemniejsze chwile mają swój koniec i będę musiał powrócić do brutalnej codzienności.

Technicy dochodzeniowi kończyli swoją robotę. Nie mogłem im pomóc, więc przynajmniej starałem się nie przeszkadzać.

W przybrzeżnych zaroślach, częściowo zanurzone w wodzie, leżały zwłoki mężczyzny, który nazywał się Ryszard Brzozowicz. Od wielu godzin poszukiwała go milicja całego kraju.

Jeszcze niedawno miałem ochotę, a raczej obowiązek, porozmawiać z panem Brzozowiczem. Nie byłaby to przyjemna pogawędka — jeżeli w milicji w ogóle można rozmawiać o przyjemnych sprawach.

Ale kilka godzin temu milicyjnymi kanałami łączności dotarła do mnie wiadomość. że Ryszard Brzozowicz znaleziony został w Jurowie, uroczej miejscowości na Mazurach. Dowiedziałem się także, że już nigdy nikomu nic nie powie.

Z najróżniejszych przyczyn, a przede wszystkim dla zachowania tak zwanej ciągłości śledztwa, przełożeni zadecydowali. że prowadzić je będzie nadal nasza grupa operacyjna, chociaż zbrodni dokonano na terenie województwa olsztyńskiego.

W godzinę później milicyjny śmigłowiec gotowy był do startu. Do Jurowa przylecieliśmy tuż przed świtem.

Stałem na przybrzeżnym pagórku obserwując grupę moich kolegów, którzy dokonywali oględzin miejsca zbrodni. Słowa, jakie padały przy tym, należą do najstaranniej opuszczanych w słownikach poprawnej polszczyzny. W ekipie śledczej pracowali — używając finezyjnej terminologii pułkownika Gonczara — wyborowi ludzie. Ambicja zawodowa kazała im szukać śladów przestępcy, a rozsądek podsuwał myśl o beznadziejności tego przedsięwzięcia. Bo i pewnie — cóż można

znaleźć w błotnistej bryi rozdeptanej przez tabuny turystów i rozwodnionej nocnym deszczem. Śladów było- tyle, że starczyłoby na kilka podobnych spraw i jeszcze by została nie wykorzystana reszta.

Szef ekipy technicznej, łysawy sierżant Janicki, wyszedł wreszcie na brzeg i bezskutecznie usiłował oczyścić spodnie przypominające teraz wielokrotnie używaną szmatę do podłogi.

—Niech to szlag trafi! — zaklął wreszcie z rezygnacją.

— Niech trafi! — zgodziłem się. — A co poza tym?

— Portfel, dokumenty, pieniądze, trochę drobiazgów.. Tyle.

— Żadnych śladów?

— Żadnych — westchnął sierżant ponuro.

Niepowodzenie swojej ekipy najwyraźniej odczuwał jako porażkę ambicjonalną. Tyle roboty, wysiłek wielu ludzi, zastosowanie nowoczesnych środków technicznych — i nic. Wiedzieliśmy dokładnie to, co poprzednio.

No, może przesadzam, ale materiału rzeczywiście zebrano niewiele. W opinię sierżanta Janickiego wierzyłem święcie. Miał nieprawdopodobny dar znajdowania śladów pozostawionych przez przestępców. Pozornie błahych, niemal niezauważalnych, które jednak w ostatecznym rozrachunku pozwalały ukierunkować śledztwo. Nieraz, po kolejnym sukcesie sierżanta, wydawało mi się. że jego praca graniczy z magią i że wyczuwa pozostawione przez przestępców ślady nawet przez betonową ścianę. Być może jest w milicji ktoś dorównujący Janickiemu umiejętnościami. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Dlatego w werdykt sierżanta wierzyłem bez zastrzeżeń. Podobnie jak i w jego pomysłowość.

— Kończymy dokumentację — dodał Janicki. — Może jeszcze coś znajdziemy. Ale nie liczyłbym na to. kapitanie. Tyle.

Podszedł lekarz sądowy, doktor Żakowicz.

— Możemy już zabrać zwłoki, doktorze

— powiedział do niego sierżant. — Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu...

— Jeżeli mam coś przeciwko czemuś — stwierdził melancholijnie doktor — to tylko jedno: żeby nic budzić mnie o pierwszej w nocy.

— Taka już nasza służba, doktorze — wtrąciłem filozoficznie.

Swoją drogą serce mi krwawiło na myśl, że doktor jest niewyspany. Sam w ogóle nie miałem okazji położyć się spać tej nocy.

— Dobrze, że mi pan o tym przypomniał, kapitanie — westchnął doktor. — Już czuję się lepiej. Zaws2e czuję się lepiej wiedząc, że wypełniam obowiązki służbowe.

Jedną z niewątpliwych wad, łubianego zresztą w komendzie lekarza, była skłonność do ironizowania głosem pozbawionym ironii. Dlatego przezornie milczałem. Zresztą, co właściwie można powiedzieć w takiej sytuacji?

Rozległ się warkot motocykla. Obejrzeliśmy się.

— Nareszcie jest pies — ożywił się nagle Janicki i ruszył w stronę milicyjnej emzetki, z której gramolił się przewodnik z psem.

— Zawsze mówiłem, że psy są mądrzejsze od ludzi — skomentował Żakowicz. — Ja już jadę. Szczegóły podam po sekcji.

— A wstępnie?

— Utopiony. Jakieś cztery godziny temu. Ale ktoś go ogłuszył uderzeniem w głowę i przytrzymał pod wodą.

— A więc jednak nie wypadek — wywnioskowałem odkrywczo.

— Może i wypadek — zgodził się doktor z podejrzaną skwapliwością. — Ale musiałaby mu spaść na głowę bardzo duża szyszka. Do widzenia, kapitanie.

Przymilnym tonem poprosiłem, żeby wyniki sekcji przekazał mi jak najszybciej. Odparł, że zrobi co w jego mocy i na wymianie tych uprzejmości zakończyła się nasza rozmowa.

Miałem ochotę przyjrzeć się z bliska pracy przewodnika, który właśnie usiło-

wał namówić swego psa do wykazania odrobiny węchowej inwencji, gdy z tyłu usłyszałem lament.

— Jezus Maria! Matko Boska! Chryste Panie! Taki straszliwy wypadek...

Pobożnisiem okazał się ściągnięty z łóżka kierownik pobliskiego domu wczasowego. Starszawy lacet w naciągniętych na piżamę spodniach i swetrze, którego kolor mógłby ustalić tylko człowiek z bujną wyobraźnią.

— Pan Jańczak? — upewniłem się.

— Tak. Jestem kierownikiem obiektu, panie...

— Kapitanie. Kapitan Piotr Morski — przedstawiłem się dla zachowania pozorów. W razie pilnej potrzeby potrafię zachowywać się bez zarzutu.

— Jezu Nazareński, taki wypadek — kontynuował biadolenie Jańczak — to straszne...

Facet był w niezłej formie oratorskiej, a poza tym,. o ile pamiętałem, w litanii pozostało jeszcze kilku świętych do wymienienia. Znudziła mnie zabawa w eufemizmy.

— To nie wypadek, panie .Jańczak. Ten człowiek został zamordowany.

Jańczaka zatkało. Spojrzał na mnie z autentycznym przerażeniem i przez dłuższą chwilę gotów byłem uwierzyć, że pierwszy raz w życiu dowiedział się o gwałtownej śmierci człowieka, którego zabił inny człowiek. Gotów byłem w to uwierzyć. Ale tylko przez chwilę.

2

Wszystko zaczęło się trzy dni temu, a właściwie jeszcze wcześniej.

Wydział gospodarczy od kilku tygodni otrzymywał poufne informacje, że na czarnym rynku pojawiły się duże ilości sztucznej przędzy. Monopolistą produkującym sztuczne włókno jest przemysł państwowy. zrozumiałe więc, że zainteresowali się tym zjawiskiem moi koledzy z gospodarczego.

— W grę wchodzi działalność zorganizowanej grupy aferzystów — powiedział na naradzie u pułkownika naczelnik wydziału, kapitan Kaczmarek. — A stawką w grze stały się już miliony złotych, bo według oceny specjalistów ilość skradzionego towaru można liczyć w tonach...

Pułkownik Gonczar słuchał wywodów kapitana w milczeniu, notując tylko coś od czasu do czasu.

Z dalszej części expose naczelnika wynikało, że przędzę skupują przeważnie właściciele prywatnych wytwórni galanterii. Jest to dość ryzykowna metoda pozbywania się skradzionego towaru. Przestępcy na ogół wiedzą, że milicja ma rozeznanie w środowisku pokątnych handlarzy. Jeżeli więc upłynniali im towar, mogło to oznaczać tylko jedno — kradzionej przędzy jest bardzo dużo.

— Normalnie działają inaczej — wywodził Kaczmarek. — Wchodzą w porozumienie z zaopatrzeniowcami firm produkujących wyroby z włókna. Tam wykonuje się dodatkową produkcję, oczywiście z metkami firmowymi, no a potem sprzedaje się lewy towar oficjalnie, w państwowych sklepach. Rzecz jasna, za zgodą i wiedzą kierowników, którzy też mają swój udział w zyskach. To jest sposób bardziej ograny, ale i trudniejszy do wykrycia.

— Wnioski? — włączył się nagle szef.

— Do prywaciarzy trafiają tylko resztki, których aferzyści nie mogą już upchnąć zaopatrzeniowcom. To wszystko, co wynika z analizy dotychczasowych materiałów.

— No to rzeczywiście dużo wynika — skomentował zgryźliwie pułkownik. — Może kapitan Morski wesprze nas jakąś światłą radą...

Ta chwila musiała nadejść. Ani przez sekundę nie spodziewałem się, że szef wezwie mnie na nasiadówkę, aby wypłakać mi się w kamizelkę. Wiedziałem, że w najbliższym czasie poznam sprawy sztucznej przędzy lepiej niż własny życiorys. Ale teraz nie miałem pojęcia, co właściwie trzeba robić i poczułem się jak uczniak niespodziewanie wyrwany do tablicy.

— Nie znam się na przędzy, a tym bardziej na sztucznej... — zacząłem, a na widok tak oczywistego asekuranctwa nawet marsowe oblicze szefa pojaśniało niczym choinka wigilijna.

— Nie proszę, żebyś był prządką, syneczku .— wyjaśnił pułkownik.

Cenna informacja — pomyślałem. Od dawna nikt mi nie powiedział czegoś równie odkrywczego. Ale nie powiedziałem tego na głos. Są ludzie, których trzeba traktować diabelnie serio i którzy nigdy się nie mylą wymieniając czyjeś nazwisko. Pułkownik Gonczar należał właśnie do takich ludzi.

— Myślę — podjąłem wątek — że nie ma znowu tak wielu zakładów w Warszawie, z których można by wynosić bez śladu całe tony przędzy.

Szef pokiwał głową z aprobatą, ale szybko sprowadził mnie z obłoków samozadowolenia na ziemię.

— Dobrze myślisz, syneczku — powiedział. — Myśmy też o tym pomyśleli. Przędzę nylonową tego gatunku produkują tylko zakłady „Polmer”...

Rzadko kiedy pułkownik w rozmowie używał stopni lub nazwisk. Przeważnie mówił do podwładnych „syneczku”. Jak większość szefów był wymagający, często niecierpliwy, ale — jak to mówią — „równy”,

— Zakłady Włókien Sztucznych „Polmer” — powtórzył szef. — Aaa... towarzyszu naczelniku, mieliśmy nie palić podczas nasiadówek. Zarządzenie ministra. Ograniczamy przecież palenie.

Odetchnąłem z ulgą, bo od dobrych kilku chwil naczelnik manewrował wokół swojej fajki. Kaczmarek, podobnie zresztą jak i szef, był namiętnym fajczarzem. Ale fakt, że pułkownik nie palił, miał swoje uzasadnienie. O ile każdy z przyjemnością wdychał zapach pułkownikow-skiej amphory, o tyle nierozwiązalną zagadką pozostawało, czym naczelnik nabija swoją fajkę. Podobno gabinet kapitana to jedyne miejsce w komendzie, w którym latem nie można spotkać muchy: jeśli nawet któraś zabłądzi i tak pada martwa. Gonczar sam powstrzymywał się od palenia w trosce o zdrowie własne oraz zebranych współpracowników.

Doceniłem poświęcenie szefa.

— Oczywiście, towarzyszu pułkowniku

— powiedział bez entuzjazmu Kaczmarek.

— To świetnie — ucieszył się zjadliwie Gonczar. — Przy okazji wyjaśnicie mi, kapitanie, skąd bierzecie te potworne pakuły i jakim smarem je nasycacie. Na razie jednak wyjaśnijcie, co dotychczas zdziałaliście w „Polmerze”.

Uśmiechnąłem się słysząc, jak szef leje ocet na duchowe rany naczelnika. Ale Kaczmarek, twarda bestia, puścił uwagę mimo uszu.

— Trzykrotnie, w kilkudniowych odstępach, przeprowadzono zostały w zakładach remanenty. Bez rezultatów. Ponadto w „Polmerze" zatrudniony został nowy pracownik. Na razie nie mamy od niego żadnych informacji.

— To stawia zakłady poza podejrzeniami. No, przynajmniej na razie — włączył się niespodziewanie do rozmowy milczący dotąd podporucznik Bartnik.

Bartnik niedawno skończył oficerską szkołę w Szczytnie i przydzielono go do mojego-wydziału. Pomyślałem, że ten sympatyczny brunecik zna milicyjny fach raczej teoretycznie. Nie szkodzi, na praktykę przyjdzie czas.

Pułkownik słysząc jego wynurzenia uśmiechnął się, jak to się mówi, pod wą-sem, ale Kaczmarek nie przepuścił okazji.

— To właśnie nas utwierdziło w podejrzeniach, poruczniku — powiedział nie bez złośliwości.

— Przecież wynik remanentów był negatywny — nie ustępował Bartnik.

— Przeciwnie. Był to pierwszy pozy-tywny rezultat śledztwa.

Bartnik osłupiał. Jeszcze długo będzie płacił frycowe za brak doświadczenia w milicyjnym fachu.

— Niespodziewany remanent, porucz-niku — wyjaśnił naczelnik — powinien wykryć przynajmniej drobne nieprawidłowości, bałagan w dokumentacji, coś w tym rodzaju. Zawsze są jakieś niezgodności, zawsze są błędy. Jak w życiu, poruczniku, jak w życiu...

— Dobra, dobra — zniecierpliwił się szef. — Zostawcie, kapitanie, filozofię i wracajmy do tematu.

Podporucznik pojął, że palnął głupstwo i najwyraźniej dawał sobie w duchu słowo honoru, że nie odezwie się bez potrzeby. Cóż, każdemu z nas. gdy debiutował, zdarzały się gafy i wyciągał błędne wnioski z pozornie oczywistych faktów. Nie inaczej było i ze mną.

Inna sprawa, że Kaczmarek miał rację. Remanenty w „Polmerze” robiła komisja kontrolna ze zjednoczenia, oczywiście nie bez naszej sugestii. Fakt, że wszystko zgadzało się co do grama, oznaczał, że owe kontrole nie były tak bardzo niespodziewane, jak to sobie pięknie wyobrażaliśmy. Informacje o terminach remanentów musiały przeciekać ze zjednoczenia. Dlatego efektem całej zabawy stało się naiwne przekonanie podporucznika, że w „Polmerze” wszystko gra i pracują tam anielsko czyści ludzie.

Bartnik szybko zrozumie, jak bardzo mylące bywają pozory, i że w naszej pracy błędy popełnione z nadgorliwości są niczym w porównaniu z błędami popełnionymi z lekceważenia faktów.

— Może ktoś w zjednoczeniu... — zacząłem, ale pułkownik nie dał mi skończyć.

— Może tam, może gdzieś indziej. To już wróżbiarstwo, syneczku. Jeżeli znajdziemy aferzystów, dotrzemy i do tego ktosia. Tak czy inaczej, pozostała nam tylko droga operacyjna. Dobra... Kierownictwo grupy obejmie kapitan Morski, a wy, naczelniku, będziecie koordynować akcję kryptonim „Pajęczyna”. Wszystko.

I to było rzeczywiście wszystko, co zdarzyło się trzy dni temu.

3

Dwa dni temu działo się już nieco więcej.

Siedzieliśmy w operacyjnym fiacie bez milicyjnej rejestracji. Wóz stał zaparkowany na podwórku jakiejś spółdzielni Ogrodniczej. Miało to tę dobrą stronę, że podwórko znajdowało się przy drodze wiodącej do zakładów „Polmer".

Pozostawało nam tylko czekać.

O szóstej przybyła do fabryki pierwsza zmiana, a potem znowu na uliczce zapanował spokój.

Oczekiwanie skracaliśmy sobie ożywioną dyskusją na temat mistrzostw świata w piłce nożnej. Bartnik uparcie twierdził, że Deyna nic miał szczęścia w strzałach, a ja podnosiłem walory Gadochy. Siedzący przy kierownicy wywiadowca zżymał się na organizatorów meczu Polska—RFN — i tak nam czas upływał w miłej atmosferze.

— To była jawna granda — perorował wywiadowca. — Sędzia wyszedł na boisko. zapadł się po pachy w błoto, a mimo to pozwolił grać. Cholerny świat, co za kawał łobuza...

Na pulpicie radiostacji zamigotało czerwone światełko. Skończyły się rozmówki.

Włączyłem odbiornik.

— Piętnastka wzywa zero siedem — zachrypiał głośnik. — Odbiór. .

— Zero siedem do piętnastki. Słyszę. Odbiór — wygłosiłem urzędową formułkę.

— Piętnastka do zero siedem. Już. Star numer WX-5478. Odbiór.

— Zero siedem do piętnastki. Zrozumiałem. Bierzemy go. Star WX-5478. Przyślę zmianę. Koniec.

W tłumaczeniu na ludzki język oznaczało to, że wywiadowca umieszczony w fabryce zauważył wreszcie jakąś podejrzaną kombinację z załadunkiem przędzy,

o czym nas uprzejmie zawiadamiał.

— Warto było czekać - zauważył Bartnik. — Zaczyna się ruch w interesie.

Po kilku minutach koło naszego stanowiska przejechała wyładowana ciężarówka o znanych nam już numerach rejestracyjnych.

Ruszyliśmy za nią.

Wywołałem centralę.

— „Ewa wzywa zero siedem” — odpowiedział głos dyżurnego. — Odbiór.

Zawiadomiłem go, że opuściliśmy posterunek przy fabryce i poleciłem wysłać do obstawy „Polmeru” inną grupę. „Piętnastka” mógł się mylić. Nas na taki luksus nie było stać.

Dyżurny odpowiedział, że wysyła ekipę rezerwową służby „X”.

Dobrze, pomyślałem. Niech się inni też trochę pomęczą czekaniem. U nas przynajmniej już coś się działo.

Star jechał teraz w kierunku Nowego Dworu trasą E—81. Na szosie panował niezły ruch, więc nie sililiśmy się specjalnie na konspirację.

Przed Nowym Dworem ciężarówka skręciła w stronę Puszczy Kampinoskiej i musieliśmy zwiększyć nieco dystans.

Cała zabawa w dyżurowanie opierała się na prostych przesłankach. Setek kilogramów przędzy nie można wynosić w kieszeni czy teczce. Wyjeżdżały cne z zakładów w najprostszy możliwy sposób: w legalnych i oficjalnych transportach, a dopiero później zmieniały właściciela. Pomysł zaiste genialny w swej prostocie.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Ciężarówka nie zatrzymywała się ani na sekundę. Bartnik pieczołowicie studiował listę zakładów zaopatrywanych w przędzę przez „Polmer”.

— Chyba do Zaborowa — orzekł wreszcie pokazując mi spis.

Figurowała tam Dziewiarska Spółdzielnia Pracy „Penelopa” w Zaborowie.

— Pięknie — powiedziałem. — Sprawdzimy na miejscu ilość ładunku. Zweryfikujemy opinię staruszka Homera o uczciwości Penelopy.

Ale najwyraźniej nie sądzone nam było dotrzeć do Odysowej połowicy. Kiedy po kilku kilometrach jechaliśmy przez gęsty las, ciężarówkę zatrzymał patrol milicji drogowej. Pech, ale nie wszystko można przewidzieć. Pocieszałem się myślą, że Odys też miał pechową drogę do żony.

— Cholera! — zaklął nasz szofer z właściwą wszystkim kierowcom pasją. — Drogówkę diabli przynieśli.

Dalsza konspiracja nie miała sensu. Wystarczy, że patrol znajdzie jakąś nieprawidłowość w dokumentach czy usterkę w samochodzie i cała akcja weźmie w łeb.

— Czadu! — krzyknąłem i po chwili nasz fiat, bezczelnie lekceważąc znak ograniczenia szybkości, dogonił ciężarówkę. Zahamowaliśmy tuż za nią.

Powitał nas plutonowy w białym hełmie.

— Wiem, że ma pan powód jeździć za szybko, ale lepiej, żeby był ważny — powiedział do kierowcy.

— Jest ważny — wyjaśniłem, pokazując znaczek tajnej służby operacyjnej MO.

Podeszliśmy do ciężarówki. Drugi członek patrolu, wysoki kapral o posturze boksera wagi ciężkiej, sprawdzał dokumenty kierowcy stara. W szoferce siedział jeszcze jeden facet: blondyn w skórzanej kurtce.

— Wysiadajcie, panowie! — zadysponowałem i obaj mężczyźni wyskoczyli z szoferki.

Nie lubię, gdy ktoś patrzy na mnie z góry. Zresztą kto to lubi?

Bartnik coś tłumaczył na boku kolegom z drogówki, więc musiałem zająć się pasażerami stara. Skłamałbym jednak twierdząc, że wiedziałem, o co pytać.

Przeglądałem dokumenty. Kierowca ciężarówki wyglądał na nieco speszonego, natomiast jego towarzysz kręcił się niespokojnie.

— Skąd, dokąd? — zapytałem kierowcę.

— Z zakładów „Polmer” do spółdzielni w Zaborowie. Wieziemy przędzę — odpowiedział blondyn w kurtce. — Panie władzo, spieszymy się, rozumie pan...

— Rozumiem — odparłem grzecznie. — Dokumenty przewozu proszę.

Blondyn zaczął szperać w portfelu. Wreszcie wyciągnął jakiś papier.

— O, tu jest faktura... Nie, przepraszam, to coś innego...

Znowu zaczął grzebać w portfelu. Najwyraźniej zawodziły go nerwy. Bartnik wyjął mu portfel z ręki.

— Sami znajdziemy — powiedział słodko. — Widzę, że ma pan kłopoty.

Zaczął opróżniać portfel. Blondyn chciał coś powiedzieć, może zaprotestować, ale nie starczyło mu energii. Opanowywał się tak nieudolnie, że na odległość widać było, jaki jest zdenerwowany. Kierowca ciężarówki przypatrywał się scenie z wyraźnym rozbawieniem.

— Fan ma tu nawet kilka faktur... — zdziwił się nieszczerze Bartnik. — Jedna ważna i reszta in blanco. Skąd?

— No to co? — warknął blondyn, co prawda nieco bez związku.

Zajrzałem do jego dowodu.

— Panie Brzozowicz — powiedziałem

— w szkole już uczą, żeby nie odpowiadać pytaniem na pytanie.

— Może pan Brzozowicz wtedy waga-rował — zauważył Bartnik.

— Co jest?! — krzyknął Brzozowicz. — Co do mnie macie? Jestem magazynierem w „Polmerze” i mam blankiety. Jasne, nie?

Odparłem, że niezupełnie.

— Pan zawsze jeździ z transportami?

— spytałem. — Nie macie konwojentów?

Brzozowicz zesztywniał i zrobił się nagle przesadnie ostrożny w słowach. Widocznie poruszyłem czułą strunę.

— No... nie zawsze... Miałem coś do załatwienia w Zaborowie... Po prostu spółdzielnia zareklamowała jakość poprzedniej dostawy i muszę to wyjaśnić.

— Pięknie. Już pan nie musi. Wracamy do zakładów.

Powiedziałem kierowcy, żeby wsiadł. Wzruszył ramionami i zaczął wdrapywać się do szoferki. Albo rzeczywiście nie orientował się, o co właściwie chodzi, albo drzemał w nim zapoznany talent aktorski.

Nie miałem ochoty w to wnikać.

— Faktura opiewa na dziewięćset kilogramów przędzy — powiedział nagle Bartnik — w tym na siedemset dwadzieścia pierwszego gatunku. Wrócimy i porównamy, ile wywieźli.

Nawet gdybym chciał uprzedzić kolegę, że nic wolno wykładać na stół atutów, też bym nie zdążył. Widocznie się starzeję, bo refleks mnie zawodzi.

Bartnik popełnił poważny błąd. Przekonaliśmy się o tym błyskawicznie.

Brzozowicz, który sekundę wcześniej ruszył dookoła ciężarówki, usłyszał słowa porucznika. Zatrzymał się. Może chciał coś powiedzieć. Może coś zrobić. Ale już na nic nie starczyło czasu.

Wszystko stało się tak szybko, że przeczytanie tych zdań trwa dziesięć razy dłużej.

Bo nagle wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Milicjanci z patrolu drogowego szykowali się do odjazdu. Wywiadowca wsiadał do samochodu. Kierowca zatrzasnął drzwi szoferki stara. Bartnik chował do teczki dokumenty. Brzozowicz natomiast szedł powoli w kierunku drugich drzwiczek ciężarówki.

I wtedy usłyszeliśmy sygnał klaksonu mijającego nas samochodu. Pokażcie mi człowieka, który nie spojrzy w tym momencie na szosę.

Wszyscy odwrócili się z ciekawością żony Lota. Szosą jechał fiat 128-sport. Ładny wóz. Ale jakie to ma znaczenie?

Chwila nieuwagi wystarczyła. Magazynier zakładów „Polmer” jeszcze w tym samym ułamku sekundy, a może już w następnym, skoczył jak wyrzucony z ka-tapulty i zniknął w przydrożnym zagajniku. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że idealnie wykorzystał moment do ucieczki.

Bartnik pierwszy ruszył w pogoń. Biegnąc usiłował niezdarnie wyjąć broń. Cóż, takie kowbojskie sztuczki wymagają treningu i oficer operacyjny powinien je znać. Mogą się przydać w bardziej kłopotliwej sytuacji, gdy ktoś zechce człowiekowi udowodnić, że ma pistolet strzelający szybciej. Postanowiłem udzielić Bartnikowi korepetycji.

W sekundę później wystartował nasz wywiadowca, niemal równocześnie z plutonowym z patrolu. Stałem najdalej od zagajnika i to rozgrzeszyło moje lenistwo. Zresztą nigdy nie lubiłem biegać po lasach. Dlatego nie przyjęto mnie do harcerzy. Dogonić uciekającego w gęstym lesie to beznadziejna sprawa.

Słyszałem krzyki, trzask łamanych gałęzi, wreszcie strzały. Z równym powodzeniem moi koledzy mogliby się pomodlić, żeby Brzozowicz łaskawie wrócił. Nie wyglądał na idiotę, którego można zastraszyć w tak dziecinny sposób. Wiedział, że w gęstym lesie milicjanci będą strzelali tylko na postrach.

Szofer stara siedział nieco wystraszony rozwojem wypadków.

— Normalnie nie strzelam do uciekających — powiedziałem na wszelki wypadek — ale dla pana zrobię wyjątek.

— Może pan nie trafi — odparł z nikłym uśmiechem.

— Założymy się? — spytałem raczej dla podtrzymania gasnącej konwersacji niż z rzeczywistej potrzeby.

Powiedział, że nie ma z tym nic wspólnego.

Możliwe, że mówił prawdę. Nie miałem ochoty w to wnikać. Zresztą facet najwyraźniej nie rozumiał, co się dzieje. Był lekko wystraszony, ale bawił się nieźle tą całą operetką.

Mnie było mniej radośnie na duszy. Zastanawiałem się właśnie, co powie pułkownik, gdy zamelduję, że fiaskiem skończyła się pierwsza część operacji o kryptonimie „Pajęczyna".

4

Sensacyjne wiadomości rozchodzą się błyskawicznie w fabrycznym mikroświat-ku. Kilka osób kręciło się bez sensu w okolicy ciężarówki, markując załatwianie jakichś spraw. Za to budynek administracyjny wyglądał jak trybuna honorowa: we wszystkich oknach wychodzących w naszą stronę widniały twarze urzędników.

Weszliśmy na portiernię. Szefem dyżurnym straży okazał się starszy mężczyzna o siwych włosach, który właśnie jadł śniadanie.

- Co się stało? — zapytał na nasz widok, a ściślej mówiąc na widok wchodzącego z nami kierowcy.

— Panowie są z milicji — wyjaśnił kierowca. — Zatrzymali nas na szosie, panie Zawada.

Zawada odstawił herbatę i zawinął nie zjedzone kanapki w kawałek gazety.

— Co się stało? — powtórzył. — Wypadek?

Nic zdążyłem wydusić z gardła ani jednej sylaby, gdyż otworzyły się drzwi i do portierni wpadł elegancki mężczyzna.

— Co jest? — zapytał wyraźnie zdenerwowany. — Co to za historia?

— Milicja — wyznałem ze skruchą. — Morski, a to porucznik Bartnik... Kierowcę pan chyba zna...

— Przepraszam — zmitygował się nowo przybyły — jestem dyrektorem „Polmeru". Panowie pozwolą, Grodecki...

Wymieniliśmy mocne, męskie uściski dłoni. Normalka.

— Ale co to za historia. Dlaczego nic

o tym nie wiem?

— Już pan wie. A reszty dowiemy się wspólnie... Panie Zawada, pan wypuszczał tę ciężarówkę?

— Tak... Z godzinkę temu... no, może półtorej...

— Pięknie. Proszę pokazać przepustkę na ładunek.

W milczeniu obserwowaliśmy, jak Zawada przeszukuje swoje papiery. Dyrektor też stracił ochotę do rozmowy.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, do środka zajrzał jakiś facet.

— Panie Zawada... o, jest pan dyrektor... Panie dyrektorze, mamy jechać z przędzą do Ciechanowa, ale milicja nie puszcza.

Dyrektor, który zaczął się widocznie domyślać, że nie przyjechaliśmy do ..Pol-meru" z wizytą kurtuazyjną, spojrzał na mnie pytająco.

Zrobiliśmy za dużo szumu w zakładach, aby ktokolwiek ryzykował w takiej chwili wywóz lewego towaru. Ale na wszelki wypadek...

— W porządku — powiedziałem — mogą jechać. Sprawdzimy tylko dokładnie ładunek. Porucznik Bartnik to załatwi.

Bartnik wyszedł razem z tamtym facetem.

— No co jest, panie Zawada — zdenerwował się dyrektor. — Ma pan przepustkę czy nie?

Strażnik był wyraźnie skonfundowany.

— Nie wiem, panie dyrektorze, bo jest przepustka... ale to nie ta. Niby wszystko jak trzeba... Numery dobre, godzina wyjazdu też, a wpisany ładunek inny...

Dyrektor chciał wziąć dokument, ale tym razem refleks mnie nie zawiódł i byłem szybszy.

Wyjąłem z teczki dokumenty przewozu odebrane na szosie.

— Pięknie. To jest faktura na przewóz dziewięciuset kilogramów przędzy. Z tym dokumentem pańscy pracownicy jechali do Zaborowa. A to przepustka dokładnie na taką samą ilość towaru. Dzięki niej samochód wyjechał z fabryki.

— No więc w czym rzecz? — spytał cierpko dyrektor. — I tu, i tu chodzi o dziesięć skrzynek przędzy...

W odpowiedzi wyręczył mnie Zawada.

- Jak wypuszczałem samochód, to na przepustce było tysiąc czterysta czterdzieści kilogramów, panie dyrektorze. Pamiętam dokładnie: szesnaście skrzyń po dziewięćdziesiąt kilo. Sam liczyłem... Chyba że już mam sklerozę.

— Nie ma pan sklerozy, panie Zawada; Na ciężarówce znajdują się wszystkie skrzynki. Szesnaście sztuk. Razem tysiąc czterysta czterdzieści kilogramów. Rozumie pan, panie dyrektorze?

Dyrektor zrozumiał.

— Psiakrew! zaklął i odwrócił się do siedzącego w kącie kierowcy. — Dałem panu szansę, Głogowski. Znowu pan wróci do kryminału.

Oskarżenia niech pan zostawi dla prokuratora, panie dyrektorze — warknął kierowca. — Nie po to wyszedłem z ciupy, żeby tam wrócić. I nic dam się wrobić w jakąś aferę, jasne?

— Jasne. Kiedy pan wyszedł? — spytałem.

— Trzy tygodnie temu. Dostałem dwójkę za wypadek drogowy. Odsiedziałem połowę i objęła mnie amnestia.

— Nieźle — zauważył dyrektor — po dwóch tygodniach pracy wywozi pan pół tony kradzionej przędzy. Gratuluję szybkości w działaniu.

— Ponad pół tony. panie dyrektorze — sprostowałem. — Pan naprawdę wierzy w swoje oskarżenie?

Biedny optymista. Być może rzeczywiście uważał, że nowy pracownik ni stąd. ni zowąd ukradnie przędzę. Widocznie nie dopuszczał do siebie myśli, że dla zorganizowania takiej ilości towaru potrzebna jest współpraca całej grupy ludzi. I to pracujących w „Polmerze” dłużej niż dwa tygodnie.

Dyrektor wzruszył ramionami.

— Ostatecznie to jest wasza sprawa — powiedział.

— Niezupełnie, panie dyrektorze — odparłem. — To jest nasza wspólna sprawa. Przędzę skradziono z zakładów, którymi pan kieruje.

O tym, co właściwie znaczy własność społeczna, uczyłem się na lekcji wychowania obywatelskiego. Ale nie powiedziałem tego głośno. Nie byliśmy w szkole.

— Do diabła! Nie mogę przecież pilnować każdego kilograma surowca — rozzłościł się Gródecki. — Jestem dyrektorem, a nic strażnikiem. Mam dużo innych zajęć. U nas nie brakuje roboty.

— Nie wierzę — odparłem. — Proszę spojrzeć przez okno. Pół fabryki obserwuje w tej chwili portiernię. Widocznie pańscy ludzie się nudzą.

Dyrektor machnął ręką, bardziej rozzłoszczony moją uwagą niż tym. co zauważył za oknem.

— Czy pan gdzieś wychodził po wypuszczeniu ciężarówki? — spytałem Zawadę.

— Nie... — odparł — ...to znaczy na chwilę. Wezwał mnie magister Kołodziejczyk, bo coś się nie zgadzało w dokumentacji... Zamknąłem bramę i furtkę, żeby nikt nie wszedł.

— A portiernię?

— Nie było potrzeby — powiedział Zawada.

Tym razem się mylił, bo była potrzeba. Gdy rozmawiał z owym Kołodziejczykiem, ktoś zamienił przepustki w portierni i pięćset czterdzieści kilogramów przędzy nagle wyparowało z dokumentacji. Pięknie.

— Pięknie — powtórzyłem głośno. — Tyle przędzy wyparowało w ciągu kilku minut. Zdarzają się jeszcze cuda, panie dyrektorze...

Ale dyrektor mnie nie słuchał. Nerwo-wo nakręcał numer wewnętrznego telefonu.

— Kim jest Kołodziejczyk?.— zapytałem kierowcę.

— Zastępcą kierownika działu zbytu — wyjaśnił Głogowski.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Rzeczywiście sprawy zaczynały się powoli wyjaśniać.

— Zbyt? — mówił dyrektor do słuchawki. — Mówi Gródecki. Dajcie Kołodziejczyka... Gdzie poszedł?

— Ma pan pecha, kapitanie — zauważył Głogowski.

Facet miał najwyraźniej poczucie humoru i podobał mi się coraz bardziej. Ale coraz mniej podobała mi się sytuacja w zakładach.

— Wyszedł właśnie do miasta — wyjaśnił dyrektor rzuciwszy słuchawkę.

Rzeczywiście miałem dziś pecha.

— Nie wyszedł — włączył się siedzący przy oknie Głogowski. — Właśnie idzie tutaj.

Po chwili do portierni weszło dwóch mężczyzn. Łysy grubas i wysoki blondyn w okularach o wyglądzie rutynowanego kaznodziei. Jednego z nich znałem aż za dobrze. -

— No, znalazł się pan nareszcie — powiedział dyrektor do grubasa. — A pan tu nie jest potrzebny, Szemiot. Może pan wracać do pracy.

Musiałem zakończyć maskaradę.

— Porucznik Szemiot — powiedziałem z naciskiem — nie będzie już pracować w „Polmerze”. Szkoda, byłby dobrym pracownikiem.

Dyrektor osłupiał. Nie muszę chyba dodawać, że okularnik był oficerem naszej komendy i że to właśnie on używał kryptonimu „piętnastka”.

— Pan Kołodziejczyk chciał wyjść bez pożegnania — westchnął Szemiot. — Poprosiłem go, żeby jednak pofatygował się tutaj...

Dyrektorowi wreszcie wróciła mowa.

— A więc to tak... — z rezygnacją pokiwał głową. — Pan porucznik... No, teraz wszystko rozumiem.

Przyszło mi do głowy, że kryptonim „Pajęczyna” dobrze oddaje metaforyczny stan rzeczy. Grupa spryciarzy w „Polmerze” utkała sobie pajęczą sieć ze sztucznej przędzy. Misterną pajęczynę przestępstwa. Dużo czasu upłynie, zanim rozplączemy wszystkie węzły. Dlatego szkoda, że Brzozowicz nie może nam pewnych spraw wyjaśnić od razu.

Dyrektor, jakby czytał w moich myślach. Powinien zagrać w totka z takim talentem jasnowidzenia.

— A gdzie jest Brzozowicz? — spytał nagle.

Najzupełniej szczerze odpowiedziałem, że nie mam pojęcia.

5

Nie było mi wesoło.

— Nie będę tolerować nieudolności — grzmiał szef. — To milicja, a nie ogródek jordanowski. Trzech uzbrojonych funkcjonariuszy nie potrafi upilnować jednego przestępcy." I tak dobrze, że nie zabrał któregoś z was. Przy tym poziomie orientacji, kapitanie, mogło się przecież i tak zdarzyć...

Pułkownik się pomylił. Na szosie było nas pięciu. Przezornie jednak nie prostowałem tego. Nie jestem drobiazgowy.

Coś, co jedni nazywają poczuciem dyscypliny. a inni instynktem samozachowawczym, powstrzymało mnie od zabierania głosu. Ci, którzy znają pułkownika Gon-czara. a mam zaszczyt zaliczać się do ich grona, wiedzą aż za dobrze, że są sytuacje, w których lepiej szefowi nie przerywać. A to była właśnie taka sytuacja.

— Oszaleć można z tą gromadą fajtła-pów — piorunował szef. — Masz zapałki, syneczku?

Miałem.

Pułkownik zajął się fajką, co było znakiem, że złość mu mija. Mówiąc szczerze zresztą, trochę przesadzał. Nie spisywaliśmy się najgorzej, a jedno niepowodzenie zdarza się każdemu.

— Dobra — powiedział już spokojnie — co dalej?

— Zawiadomiłem służbę zewnętrzną, posterunki kolejowe, patrole na drogach...

— Wiem — przerwał zniecierpliwiony. — Wiem, że zawiadomiłeś, bo to twój obowiązek. Nie jesteś idiotą, chłopcze. Idiotów nie trzymam w wydziale... Teraz cała milicja poszukuje Brzozowicza. A można było uniknąć tego bałaganu, gdybyście bardziej uważali na szosie. Trudno, stało się... Co w zakładach?

Streściłem nasze poczynania w „Polmerze".

— Został tam Szemiot i rozpoczął dochodzenie. Posłałem mu do pomocy sierżanta Nowaka. Opieczętowaliśmy magazyn i zaczyna się kontrola kompleksowa.

Terminu „kontrola kompleksowa" nauczył mnie dyrektor Gródecki.

— A ten... Kołodziejczyk?

— Odmówił wyjaśnień. Zatrzymałem go w areszcie. Gdy przemyśli sprawę, będzie rozmowniejszy.

— Może będzie — zgodził się pułkownik. — Co z Kaczmarkiem?

— Zawiadomiłem kapitana. Wysłał do „Polmeru" ludzi z gospodarczego.

— I tak najlepszy będzie Nowak. Jeśli on czegoś nie znajdzie, nikt nie znajdzie.

Starszy sierżant Nowak ucieszyłby się słysząc taką opinię o sobie. Przed kilkunastu laty podjął decyzję brzemienną w skutki dla wielu aferzystów. Porzucił pracę księgowego i przeniósł się do milicji. W krótkim czasie zasłynął jako najlepszy specjalista od wykrywania afer gospodarczych. W obłędnym gąszczu dokumentów, ksiąg, przepisów i faktur poruszał się z nieomylną wprawą. Zdawać by się mogło, że w dokumentach wyczuwa szachrajstwa na odległość. Zasłynął także jako jedyny w komendzie posiadacz zarękawków, bez których nie siadał do pracy. Przyzwyczajenie dawnego księgowego wywoływało, co prawda, dowcipy, ale Nowak lekce sobie ważył dowcipnisiów wiedząc, że i tak, wcześniej czy później, każdy poprosi go o pomoc.

— Dobra, syneczku — dodał szef. — Zobaczymy, co z tego wyniknie... Masz coś jeszcze?

Odpowiedziałem, żo na razie trudno połapać się w układach wewnątrz fabryki. Szemiot działał w „Polmerze" zbyt krótko, aby rozpracować dokładnie środowisko. Brzozowicz uciekł, a

Kołodziejczyk milczy. Powiedziałem też, że zabezpieczyliśmy całą dokumentację i że trzeba się liczyć z protestami ze zjednoczenia.

— Dobra — westchnął szef. — Poradzę sobie w razie czego.

Nie miałem wątpliwości, że szef da sobie radę z interwencjami. Mial dużą rutynę w tych sprawach. Wystarczyło wezwać na przesłuchanie kogoś na jakim takim stanowisku, a natychmiast urywała się lawina telefonów, protestów, pretensji.

Rozmowy z pracownikami „Polmeru" powinny szybko dać rezultaty. Plotkarze chętnie opowiedzą o krążących pogłoskach: kto z kim trzyma, kto kogo popiera, a zwłaszcza o różnych sprawach dozwolonych od lat osiemnastu. Czasem wystarczy strzęp informacji, żeby zorientować się w mechanizmach działania kliki aferzystów. Liczyłem także na bezpośrednie efekty naszej działalności. Wykrycie samochodu z kradzioną przędzą, zatrzymanie Kołodziejczyka, milicjanci, którzy chodzą po zakładach i zadają niedyskretne pytania... Wszystko to powinno nastraszyć ludzi wplątanych w kombinacje z przędzą. O ile znam życie, niejeden z nich spędzi bezsenną noc. Słabsi nerwowo zaczną zgłaszać się sami i bijąc w piersi przyznawać do' winy. Zdarza się.

Powiedziałem o tym pułkownikowi.

— Dobra — zgodził się pułkownik. — Ale najbardziej liczę, syneczku, na uczciwych ludzi. Tych, którzy może coś zauważyli, a z różnych powodów bali się powiedzieć o tym głośno. Są jeszcze w „Polmerze" uczciwi ludzie. Oni powinni nam pomóc najbardziej. Pamiętaj o tym, syneczku.

Pamiętałem o tym.

Pułkownik miał rację. Ale i ja nic myliłem się twierdząc, że nasza akcja przestraszy aferzystów i że zaczną działać pochopnie.

Nie sądziłem jednak, że aż tak prędko.

6

Jak na jeden dzień ciut za dużo wrażeń dla biednego kapitana milicji, pomyślałem kładąc się spać. Ciekawe., kto mi ukoi skołatane nerwy. Dawniej rozpieszczała mnie mamusia.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Znowu coś się stało — taka jest zawsze pierwsza myśl „gliny".

Podniosłem słuchawkę, jakby to był odbezpieczony granat.

— To ja — usłyszałem cichy głos mojej dziewczyny. — Miałeś do mnie zadzwonić. Znowu zapomniałeś...

Fakt, że miałem do niej zadzwonić. I nie da się ukryć, żcezapomniałem.

— Posłuchaj, pyszczku — powiedziałem. — Nie mogłem zadzwonić. Miałem cholerny dzień i dopiero przed chwilą dowlokłem się do domu...

— Jak zwykle — zauważyła z nutką ironii. — Czekałam na twój telefon. Mieliśmy pójść do kina. Oderwałbyś się od tych swoich spraw chociaż na kilka godzin...

— Od tych spraw nic ma ucieczki, pyszczku — powiedziałem - i nie można się od nich oderwać. Taki zawód. Nie muszę ci przypominać, mówiłem to już wiele razy. Ty wiesz.

— Zamęczysz się w ten sposób — powiedziała. — Jak długo tak można, na pełnych obrotach?... Czy oni nie mają już zupełnie innych ludzi?...

Mówiła coś dalej jeszcze w tym stylu, ale przestałem już słuchać. Pomyślałem, że wszyscy moi koledzy też mają swoich bliskich, swoje dziewczyny, życie osobiste. I może właśnie ktoś najbliższy powtarza im to samo: czy oni tam nie mają innych ludzi?...

...nieustanny wyścig z czasem, który działa na korzyść przestępcy. Czepianie się każdego strzępka informacji, każdego faktu. drobiazgu, który może stać się dowodem rzeczowym. Gotowość do działania o każdej porze i w każdych warunkach. Ustawiczna potrzeba koncentracji,

opanowywania nerwów, a często rezygnowanie ze spraw osobistych...

Jak długo tak można? T kim właściwie są ci „inni ludzie?”

Psiakrew! Zaczynam się robić sentymentalny. Rozklejam się na starość.

— ...słuchasz mnie?

— Oczywiście, pyszczku, że słucham.

— Mam rację?

— Masz rację, pyszczku.

— Powiedz szczerze, czy ty mnie kochasz?

Odpowiedziałem szczerze, że ją bardzo kocham. Powtarzałem to zresztą zawsze, gdy mnie pytała. Codziennie kilka razy. Przyzwyczaiłem się już do tych pytań i do odpowiadania zawsze tak samo. Nieraz mówiłem te słowa zupełnie machinalnie, nie wnikając w ich sens. Mówiłem prawdę i nie musiałem się zastanawiać.

Dodałem również, że bardzo mi jej brak, że ogromnie tęsknię i że się jutro na pewno zobaczymy. Powiedziałem też kilka innych miłych słów. Trochę z przyzwyczajenia, ale bardziej dlatego, że chciałem choć w ten sposób oddalić od siebie przykre wrażenia. Ta rozmowa była mi potrzebna, chociaż nie lubię gadać o miłości. Bo czy słowa mogą mieć w miłości jakiekolwiek znaczenie?

Umówiłem się z dziewczyną na. następny dzień. Potem wskoczyłem do łóżka i próbowałem zasnąć. Przed zaśnięciem pomyślałem, że to już chyba wszystkie wydarzenia tej doby.

Pomyliłem się jednak.

- 7
- 16
- 26

7

Półprzytomny zapaliłem nocną lampkę. Na stoliku hałasował upiorny wynalazek' staruszka Bella.

Spojrzałem na zegarek: trzecia dziesięć.

— Tak, słucham — warknąłem do słuchawki głosem cierpiącego na astmę Dra-culi.

— Melduje się dyżurny oficer, porucznik Wiśniewski — zachrobotała słuchawka aparatu „Aster-74”.

— Pięknie — powiedziałem z przyzwyczajenia. — Co się znowu urodziło?

— Pożar w zakładach „Polmer", kapitanie. Wysłałem po pana wóz.

— O Jezu! — jęknąłem z rozpaczą. — Tylko tego brakowało.

Ubierałem się powoli. Niech się strażacy spieszą.

8

Fabryczny dziedziniec wyglądał jak po tajfunie. W artystycznym nieładzie leżały dookoła kawałki drewna pokryte pła-tami kopciu, jakieś rupiecie, druty i blachy. A wszystko kąpało się w błocie upstrzonym tu i ówdzie kolorowymi plamami smarów i bielszymi kałużami piany z gaśnic. Z małej przybudówki magazynu pozostało jedynie dymiące rumowisko. W powietrzu unosił się fetor spalonych chemikaliów.

— Pięknie — powiedziałem, choć robiło mi się słabo. — Musiał tu być niezły fajerwerk.

— Na szczęście w porę zauważono pożar — wykrztusił blady jak opłatek dyrektor Gródecki. — Spaliła się tylko stara buda z narzędziami.

— A ten smrodek skąd?

Dyrektor wzruszył bezradnie ramionami. Przeżycia ostatnich godzin były widocznie za mocne na jego nerwy. Zrobiło mi się go żal.

— Chodźmy stąd — zaproponowałem.

— Nic mamy tu nic do roboty.

W gabinecie Grodeckiego znalazła się kawa, Bóg wie przez kogo zaparzona, i kieliszek reprezentacyjnego koniaku. Gdyby wczoraj ktoś mi powiedział,' że takie śniadanie będę jadł o czwartej rano, uznałbym to za kiepski.dowcip.

— Podpalenie — stwierdził sucho młody porucznik pożarnictwa. — Ktoś próbował spalić magazyn, a żc magazynu pilnował strażnik, ogień podłożono w przybudówce.

— Co to znaczy „podłożono ogień”? — spytałem.

— To znaczy, że ktoś zostawił w tej budzie takie urządzenie... — Porucznik opisał aparat zapalający. — Mniej więcej po dwóch godzinach, no może po trzech, teraz trudno sprawdzić, kwas przeżarł dno puszki i nastąpiła eksplozja materiału łatwo palnego. Facet musi być niezłym chemikiem.

— Albo i facetka — zauważyłem.

— Albo i facetka — zgodził się porucznik.

— Jakie straty, dyrektorze?

— Prawie żadne. Trochę narzędzi szlag trafił... A budę i tak mieliśmy rozebrać... Tylko ten bałagan na dziedzińcu...

— Nie mogliśmy się cackać — wyjaśnił porucznik. — Gdyby się sfajczył magazyn...

— Gdyby się sfajczył magazyn, poszłoby z dymem kilkadziesiąt milionów, nie licząc strat produkcyjnych — stwierdził dyrektor z brutalną szczerością. — To jasne. Ale kto to mógł zrobić?...

Od godziny zastanawiałem się nad tym samym pytaniem.

— Pięknie. Poszukamy tego chemika, panie dyrektorze — powiedziałem. Ale na wszelki wypadek trzeba wzmocnić ochronę zakładów. Niech pan wyznaczy dodatkowych ludzi ze straży przemysłowej, a ja przyślę naszych chłopców.

Dyrektor spojrzał na mnie przerażony.

— Pan sądzi, że jeszcze raz...?

— Nic nie sądzę. Po prostu ma pan w zakładzie niezłe bagno. Nie mówię o tym na dziedzińcu. W każdym razie nie tylko

o tym. Mam na myśli pewną grupę ludzi, którzy dla zatarcia śladów swych kombinacji stosują dość gwałtowne metody. A nie jestem Panem Bogiem i nie umiem przewidzieć, co im jeszcze wpadnie do głowy.

— Pan wie, kto to zrobił?

— Gdybym wiedział, nie popijałbym tułaj kawki. Ale dowiem się$_s$ dyrektorce, i powiem panu. Można na mnie polegać.

— Jeżeli mógłbym w czymś pomóc... — Gródecki zupełnie nie przypominał tego pewnego siebie mężczyzny, który rano wszedł do portierni.

— Oczywiście. Proszę przygotować teczki personalne wszystkich pracowników „Polmeru". Będziemy je musieli dokładnie przestudiować.

— Ależ to ogromna praca.

Wyjaśniłem, że my w milicji jesteśmy

właśnie ogromnie pracowici.

9

-mocne pokoju. Było nam całkiem wygodnie. Zresztą całe mieszkanie mogło śmiało pretendować do miana wygodnego, a nawet luksusowego, choć dyskutowałbym nad gustem właściciela.

— Tu nie ma żadnej skrytki, kapitanie

— orzekł wreszcie pierwszy spec.

— Jestem dziwnie spokojny, że nie ma

— zawtórował drugi.

Pięknie — powiedziałem. — Facet kombinuje i zarabia górę forsy na lewych interesach. Rozumiem, choć nie pochwalam. Ale co on zrobił z tą forsą?

Przepił albo przegrał w pokera — zadowcipkował spec numer jeden.

— Rozdał biednym, jak Janosik — dodał drugi, który najwyraźniej posiadał telewizor.

Pogadaliśmy sobie od rzeczy jeszcze przez parę minut, po czym duet fachowców odjechał w siną dal. a ja poszedłem do dozorcy.

Dozorcy, a raczej — jak to się teraz szumnie nazywa — gospodarza nie było w domu. Wyjaśniła mi to jego żona, kobieta o posturze Horpyny.

— Jeszcze go nie ma, panie władzo — zawołała. — Od wczoraj nie ma. To nie jest zły człowiek, ale kolesie go ciągną na wódkę. Wczoraj umył lokatorom kilka samochodów, zarobił parę groszy i tyle go widziałam... Skaranie boskie, pewnie znów się uchlał i leży gdzieś, jak nie przymierzając Świnia...

Coś mnie podkusiło i zapytałem, czy do Brzozowicza przychodziła jakaś dziewczyna.

— Dziewczyna?!... Panie władzo, to stary dziwkarz. Drzwi się u niego nie zamykają. Winda się psuje... Sodoma i Gomora. panie. Ile to razy musiałam korytarz sprzątać, bo zarzygali. No, owszem, nie powiem... zawsze zapłacił za dodatkową robotę, ale niby miałam za darmo czyścić?... On tam lubi wesołe życie. Często baluje, panie... Ma taką jedną stałą panienkę, wiesz pan, jaka to dzisiaj młodzież. Dziewczyny nic siebie nie szanują. Ta też spódniczkę nosi taką krótką, że majtki widać. I bluzki przezroczyste, aż cycki na wierzchu... Nic wstydu nie mają, panie. W grzechu żyją...

Usiłowałem przerwać lawinę słów, ale nawet po drodze do drzwi do2orczyni cytowała mi odpowiednio paragrafy różnych przykazań. Zreflektowała się dopiero, gdy byłem już na korytarzu.

— A co tam ma do niego milicja, panie?

— Będzie pokutował za grzechy — odparłem, rejterując w szybkim tempie. Cóż, człowiek nie zawsze ma nastrój do dy-skusji o problemach wychowawczych.

10

Kołodziejczyk najwyraźniej spędził w areszcie bezsenną noc. Świadczyły o tym cienie pod oczyma. Cóż, człowiek to istota refleksyjna i czasem lubi przemyśleć swoje życic.

— Ja stanowczo protestuję — krzyknął.

Zostałem aresztowany bez jakichkolwiek dowodów. Z pogwałceniem konstytucyjnego prawa obywatela do wolności osobistej. Złożę skargę! Do komendanta... Do ministra!

— Pięknie — powiedziałem, gdy zabrakło mu adresatów skargi. — Panic Kołodziejczyk. Jesteśmy dorosłymi ludźmi i nie bawmy się w ciuciubabkę. Wczofaj pan został zatrzymany. Aresztowany jest pan dopiero dzisiaj. Właśnie otrzymałem sankcję prokuratora.

Zastępca kierownika działu zbytu spur-purowiał ze złości.

— Co?!... Bez dowodów? To bezprawie!

— Prokurator podpisał nakaz aresztowania, gdy przedstawiliśmy mu dowody pańskiej działalności w „Polmerze".

— To są kpiny — wykrztusił Kołodziejczyk spokojniejszym tonem. — Co to za prowokacja?! O jakich dowodach pan mówi?

Zawsze tak samo. Złudna, utopijna nadzieja, że przesłuchujący blefuje; że nic nie wie i że wszystko skończy się dobrze.

— Przeszukaliśmy pańskie mieszkanie — znokautowałem resztki złudzeń. — W pawlaczu znaleźliśmy skrytkę z interesującą zawartością. Pan wie, co tam było...

Kołodziejczyk wiedział.

W skrytce przechowywał nie tylko książeczki PKO i pokaźną sumkę dewiz. Najbardziej interesujące okazały się notatki. Kołodziejczyk nawet w domu nie przestawał pracować. Może nawet pracował staranniej niż w fabryce. Opłacała mu się ta dwuzmianowa praca.

Co prawda do czasu.

Prowadził buchalterię całej szajki. Trzeba przyznać, że ta przedziwna księgowość prowadzona była bez zarzutu. Instytucje, nazwiska, daty. ilości dostarczonej przędzy i oczywiście sumy. jakie zainkasowa-no. Kołodziejczyk ujmował też koszty własne, a jakże. Wydatki reprezentacyjne, rachunki za rozmowy telefoniczne prowadzone z kontrahentami z domowego aparatu. Przejrzyście, skrupulatnie, precyzyjnie...

Sierżant Nowak ma ogromnie ułatwioną pracę. Właściwie powfnien przysłać Kołodziejczykowi kosz kwiatów i dziękczynną laurkę.

— No cóż... niech pan pyta — powiedział Kołodziejczyk już zupełnie spokojnie.

Może nieco za spokojnie, zważywszy temat rozmowy i gwałtowność rozmówcy jeszcze kilka sekund wcześniej. Ale nie robiło mi specjalnej różnicy, jak będziemy gadać: cicho czy głośno. Nikomu z nas nie robiło to różnicy. Liczył się tylko efekt tej pogawędki.

Włączyłem magnetofon.

— Pięknie — powiedziałem. — Kto zmontował tę całą historię z przędzą?

— Brzozowicz. I on mnie wciągnął. On jest najbardziej winny... Tak! — w głosie mego rozmówcy zadrgała nutka histerii. — Brzozowicz odpowiada za wszy-stko!... Ja tylko wykonywałem polecenia

i rozliczałem towar. Niech mi pan wierzy.

— To nie jest kwestia wiary, panie Kołodziejczyk. Zresztą już od dzieciństwa nie wierzyłem w bajki i nie mam ochoty teraz zaczynać.

— Ależ ja naprawdę... Przysięgam...

Te dramatyczne przysięgi nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Słyszałem już bardziej inteligentne kłamstwa.

— Panie Kołodziejczyk, my naprawdę dużo wiemy. .Jeszcze nie wszystko, ale dość dużo. Ludzie stali się bardziej rozmowni. Nie uwierzy pan, ale w „Polmerze" jest wielu uczciwych ludzi... Ciekawe rzeczy mówią o pańskiej pracy.

— Moi wrogowie potrafią wykorzystać sytuację...

— Pańscy przyjaciele też nie próżnują. W nocy usiłowali podpalić magazyn. Od pana chciałbym sie właśnie dowiedzieć, kto mógł wpaść na taki pomysł.

Kołodziejczyk spojrzał na mnie zdumiony.

— Podpalić magazyn... Kie wiem, kto. Może Brzozowicz... a przepraszam, Brzozowicza też macic.

Tu był mój słaby punkt. Ale Brzozowicz nie wchodził w rachubę jako Ilerostrat. Nie po to uciekał, aby przejmować się stanem magazynu i w ogóle fabryką. Miał własne zmartwienia. Ponadto — co już zdążyłem sprawdzić — magazynier nigdy nie zetknął się z chemią, jeżeli nie liczyć programu zasadniczej szkoły zawodowej.' A podpalacz był niewątpliwie utalentowanym chemikiem.

— Brzozowicz nic wchodzi w rachubę powtórzyłem głośno myśl. — Proszę o

dalsze nazwiska.

— Kontaktowałem się tylko z Brzozowiczem. On organizował towar na wydziałach produkcyjnych i on...

— Panie Kołodziejczyk, wiem. jak organizowaliście nadwyżki przędzy. Znamy już poszczególne sposoby kombinacji z wagą. Kilka osób z produkcji znajduje się w tym samym areszcie, co pan.

— I na pewno jeden z nich...

— Myli się pan sądząc, że zapomniałem pytania. Pytałem o organizatorów kombinacji, a nic o wykonawców.

— Ja byłem tylko wykonawcą, spełniałem polecenia Brzozowicza — nic ustępował Kołodziejczyk.

Wyłączyłem niepotrzebny magnetofon. Szkoda czasu i taśmy na nagrywanie bajeczek. Biedny, skrzywdzony pionek w wielkiej machinie gangu nie znał nazwisk szefów. Ciekawe, na co właściwie liczył?

Na dyskrecję tamtych? Na pomoc? Nie miałem ochoty dalej z nim rozmawiać.

To, co dotychczas usłyszałem, było bajeczką od początku do końca.

Z jednym wyjątkiem: nazwiska Brzozowicza.

11

Bartnik pracowicie przeglądał stosy teczek z aktami personalnymi pracowników „Polmeru”. Urzędniczą funkcję przyjął z mieszanymi uczuciami. Robota była wprawdzie nudna, ale za to wykonywana w towarzystwie Joanny, naszej archiwistki. Joasia była niewątpliwie miłą, ładną i zgrabną szatynką, że zrezygnuję z bardziej dokładnych opisów. Od czasu, gdy u nas pracowała, archiwum stało się najbardziej uczęszczanym miejscem w komendzie.

Pierwszorzędna dziewczyna, daję słowo. Dziewczę, które chciałoby się nic tylko brać na ręce i przenosić przez strumyk.

Otworzyłem drzwi z tabliczką: ..Kierownik działu planowania”. Pokój udostępnił nam gościnnie dyrektor Gródecki.

— Jesteś nareszcie — powitał mnie Bartnik. — Joaśka już się stęskniła za twoim widokiem.

— Normalne — zauważyłem. — Dziwiłbym się, gdyby wytrzymała z tobą dłużej niż kwadrans.

— Pułkownik obiecał dodatek za trudne warunki pracy — mruknęła znad papierów Joanna.

— Pięknie — powiedziałem. — Znaleźliście coś?

— - Nawet za dużo, kochany — skrzywił się Bartnik. — Chemików mających dostęp do materiałów łatwopalnych jest w fabryce od jasnej cholery. Już wynotowałem siedemnastu. Przecież „Polmer” to w zasadzie zakłady chemiczne.

— A więc pudło? — spytałem.

— Niezupełnie. Sezon urlopowy i część wyjechała. Dwóch jest na zwolnieniu lekarskim, jeden w delegacji, jeden za granicą. Do wieczora chyba się z tym uporamy i dostaniesz dokładne dane.

— Do wieczora?

— Jutrzejszego oczywiście. A poza tym mam jeszcze jeden pomysł. Przeglądając te teczki zauważyłem, że wnioski awansowe...

Nie skończył, bo do pokoju wszedł wysoki, szpakowaty mężczyzna. Jego garnitur mógł posłużyć jako reklama każdego domu mody, a dobrotliwy, nieco ironiczny uśmiech zapożyczony był z bajki o dobrym czarowniku.

— Andrzej Wolański — przedstawił się, starannie modulując głos. — Jestem wicedyrektorem „Polmeru”.

Z takimi warunkami mógłby łatwo zrobić karierę konferansjera na festiwalu w Sopocie. Maniery miał bez zarzutu. Z galanterią pocałował w rękę Joannę, po czym przywitał się z nami, uśmiechając się w'e właściwych momentach.

Wybąkałem swoje nazwisko. Wyjaśnił, że jest mu bardzo miło. Cholernie się z tego ucieszyłem.

-Po wymianie jeszcze kilku grzecznościowych nonsensów przystąpiliśmy do rzeczy.

— Podlegają mi w „Polmerze”- sprawy personalne — stwierdził swym aksamitnym głosem. — Przeglądanie teczek z akiami jest dość uciążliwe. Może byłoby prościej, gdybym wyjaśnił państwu kwestie budzące wątpliwości.

— Cóż, my w milicji jesteśmy na ogół pracowici — mruknął Bartnik.

Rozumiem, tajemnica służbowa — domyślił się inteligentnie Wolański.

— Fakt — potwierdziłem jego domysły.

— Tylko proszę pamiętać — dodał wicedyrektor — że wczoraj i dzisiaj przerzedziliście nieco kadry naszego zakładu. Poza sprawami oczywistymi dyrekcję interesuje, co będzie dalej. Przestępstwa przestępstwom, ale plan musi być wykonany.

Subtelna jak puszek dmuchawca nitka ironii: „przerzedziliście kadry". No i pouczająca lekcja ekonomii politycznej. Pogratulować humorku. Zauważyłem również, z jaką swobodą dyrektor przeszedł z formy „ja" na „my".

Postanowiłem zakończyć konwersaeyjną poezję.

— Pięknie - powiedziałem. — Dyrekcję interesuje, co będzie dalej. Rozumiem. Szkoda tylko, że dyrekcji nie interesowało. w[r] jaki sposób normy zużycia przędzy stale były przekraczane. Dlaczego nie zajęto się na serio kontrolowaniem wagow[r]ych na pszczególnych wydziałach produkcyjnych, nie mówiąc już o samym magazynie.

— Kontrola nie należy do moich kompetencji — zauważył grzecznie Wolański.

— Kto dostanie po łapach za brak nadzoru. zadecyduje prokurator. To jego zmartwienie... Od siebie dodam, że aferę można było zmontować tylko w warunkach przerażającego niedbalstwa i lekceważenia przepisów. W grę wchodzą milionowy straty, nie mówiąc o takim drobiazgu, jak próba podpalenia fabryki, Za takie historie nikt dyrekcji nie pogłaszcze po główce.

— Pozwoli pan, że tym już my będziemy się martwić.

Pozw-olę. Ale mogę pana zapewnić, że jeszcze nie skończyliśmy naszej pracy. Że kadry, które panu podlegają, ulegną dalszemu przerzedzeniu, jak pan to lirycznie określa. Można na nas polegać. Jeżeli już zaczynamy jakąś robótkę, staramy się doprowadzić ją do końca, a dopiero zaczęliśmy...

Wygłosiłem jedno z najbardziej drętwych przemówień w życiu. Śmieszne jest przypominanie dorosłym ludziom, że dyrektorska funkcja to nie tylko splendory, ale i obowiązki. Ironiczne spojrzenie Wo-lańskiego doprowadzało mnie do pasji. Gdyby był równie wnikliwy w sprawach personalnych, jak dowcipny w rozmowie, być może nie byłoby w ogóle tej sprawy.

— Kilku pańskich wysoko kwalifikowanych fachowców nie wróci już do „Polmeru". No, przynajmniej przez parę lat. Pan wie.

— Oczywiście. Pańscy koledzy uprzejmie zawiadomili nas o tym.

Ten facet zupełnie nie miał nerwów.

— Staramy się być uprzejmi — powiedziałem — ale nie zawsze nam się to udaje.

— Zauważyłem — odparł. — Ale na przykład sprawa magazynu. Remanent skończony, a ponieważ produkcja ma swoje prawa...

Remanent w magazynie wykazał supe-ratę prawie sześciuset kilogramów przędzy różnego gatunku. Ciekawe, jak zaksięgują tę ilość towaru... Pewnie w rubryce „zyski nadzwyczajne".

— Oczywiście, że ma swoje prawa. Kto może prowadzić magazyn?

— Zastępca magazyniera, pani Alicja Wójcik.

— Nikt. nam nie powiedział, że magazynier miał zastępcę. Pan też nie. Oto jedna z podstawowych .przyczyn, dla której musimy sami babrać sie w aktach personalnych, panie dyrektorze.

— Nie powiedziałem, bo nikt mnie o to nie pytał. Pan też nic.

•— Panie dyrektorze! Zabawa w zadawanie pytań jest dobra w telewizji.

— Pani Wójcik bawi na tygodniowym urlopie. Od jutra może przystąpić do pracy. Oczywiście, jeżeli milicja nie ma nic przeciwko temu.

— Pięknie... Ale zanim przystąpi, chciałbym z nią porozmawiać. Zorientuję się, czy może zacząć.

Ładna historia. Współpracowniczka Brzozowicza ma zająć miejsce swojego byłego szefa.

Wspaniale. Szemiot nie zdążył jej poznać, bo, wyjechała na urlop. Być może przesadzam z podejrzliwością i pani Wójcik rzeczywiście nic nie wiedziała o machinacjach magazyniera. Ale czy pracując razem można nie zauważyć kombinacji z przędzą?... Obłęd! W ten sposób mogę zadawać sobie zagadki do wieczora.

Zaczynałem się już gubić w tych wszystkich faktach, układach, nazwiskach i informacjach. Poczułem, że naprawdę jestem tym wszystkim zmęczony.

— Pani Wójcik pracuje w „Polmerze" od dziewięciu lat — dodał Wolański. — Ofiarna, zasłużona pracownica, aktywist-ka rady zakładowej. Moim zdaniem znajduje się poza jakimikolwiek podejrzeniami.

Przypomniałem sobie dyplom w biurku

Brzozowicza, który też był ofiarnym i zasłużonym prcownikiem. Ciekawe, na ile lat sąd wyceni jego zasługi.

— To nam upraszcza sprawę — ucieszyłem się. — W tych trudnych momentach przyda się w magazynie „Pólmeru" ofiarny pracownik. Najpierw jednak pogawędzę z panią Wójcik. I to zanim obejmie magazyn. To nie prośba, panie dyrektorze, ale decyzja kierującego śledztwem. Proszę o tym nie zapominać.

Wolański wydawał się zdenerwowany, co zauważyłem nie bez złośliwego zadowolenia.

- Pan przekracza swoje kompetencje, kapitanie. Nie może pan lekceważyć interesu zakładów i wstrzymywać normalnego przebiegu produkcji. To sprawy dyrekcji.

— Nie zamierzam niczego lekceważyć ani wstrzymywać. Nie mamy pięciu lat i nie bawmy się w Wersal. Jeżeli ktoś tu coś lekceważy, to między innymi dyrekcja swoje obowiązki. Spisaliście się pierwszorzędnie i macie efekty.

— Ironia nie na miejscu — pouczył mnie Wolański. — Dlaczego pan mi to mówi ?

— Bo muszę razem z kolegami babrać się w sprawach „Polmeru". Dlatego. Nie sprawia to nikomu z nas przyjemności. Mnóstwo funkcjonariuszy rozbebesza teraz dokumentację, rozmawia z pracownikami, wyciąga wnioski. Takie śledztwo to kosztowna zabawa. A można było tego uniknąć, gdyby dyrekcja...

— Proszę nie wciągać w to dyrekcji. Protestuję przeciwko insynuacjom!

— Pięknie. Czekam na panią Wójcik jutro rano. Wszystko.

— Nie wszystko, panie kapitanie. Jeszcze dziś porozmawiam z pańskim przełożonym.

— Przeraża mnie pan. Szef da mi po łapach i postawi do kąta.

— To zawiły dowcip. Pan w ogóle nie wygląda na milicjanta. Milicjanci są u-przejmi.

— Ja jestem nietypowy...

Wicedyrektor Andrzej Wolański z godnością opuścił pokój.

— No... tośmy sobie pogadali — westchnąłem z ulgą.

— Słuchaj — spytała nagle Joanna. — Czy my mamy prawo trzymać zamknięty magazyn już po zrobieniu remanentu?

— Prokurator mógłby i to załatwić, ale nie widzę potrzeby. Magazyn rzeczywiście powinien funkcjonować. Nie wiem tylko, czy owa pani Wójcik będzie mogła go prowadzić... Zobaczymy jutro. Poza tym mamy inne prawo, Joasiu.

- Jakie?

— Mylić się — powiedziałem.

Inna rzecz, że wolałbym nic korzystać z lej możliwości. Sprawa była zbyt poważna, aby pozwolić sobie na dalsze pomyłki.

— Mówiłeś coś o wnioskach do awansu — przypomniałem słowa Bartnika. — Mów, nie

krępuj się, drogi chłopcze.

— Nie wiem, czy to ma jakiś sens — zaczął Bartnik — ale...

Przesadna ostrożność kolegi wynikała prawdopodobnie z wczorajszej reprymendy na naradzie u szefa. Wyjaśniłem w skrócie, że ludzką rzeczą jest błądzić i żeby bez żenady referował swój pomysł. Uczciwie muszę przyznać, że pomysł był niezły. Jednak praca w towarzystwie Joanny wpływa inspirująco na intelekt.

Powiem jej o tym przy okazji.

12

Po rozpatrzeniu rezultatów dotychczasowego śledztwa zrozumiałem, jak czuje się człowiek, który wdepnął w grzęzawisko. Żmudne, męczące, uparte dochodzenie prawdy dało już pierwsze efekty. Teczki ak- z napisem: Kryptonim „Pajęczyna” tyły z godziny na godzinę. Protokoły przesłuchań pracowników „Polmeru”, analiza dokumentów, zeznania aferzystów — wszystićo składało się na rekonstrukcję systemu nadużyć. Równocześnie zarządzono kontrole w przedsiębiorstwach, któ-i'ych nazwy znaleźliśmy w zapiskach Kołodziejczyka. Normalna rutyniarska robota.

Teza wicedyrektora Wolańskiego o „przerzedzeniu kadry’’ wydawała się naciągana. Ustaliliśmy dotychczas, że w aferę zamieszanych było w fabryce sześć osób. Oprócz Kołodziejczyka i Brzozowicza aresztowano dwóch mistrzów z wydziałów produkcyjnych i szefa transportu wewnątrzzakładowego; Zgłosił się również z własnej inicjatywy jakiś inżynier z nadzoru technicznego. Przyznał sio, że na polecenie Brzozowicza zamienił przepustki na portierni. Widocznie świadomość winy nie pozwalała mu sypiać po nocach i wreszcie poszedł wyspać się do aresztu.

Sześć osób spośród wielotysięcznej załogi „Polmeru”. Nie chciało mi się nawet liczyć, jaki to promil.

Na naradzie u szefa kapitan Kaczmarek cytował dokumenty, sypał nazwiskami i faktami, opisywał metody wygospodarowywania „nadwyżek” przędzy, wywożenia jej z zakładów i ustalone dotychczas sposoby sprzedaży. Czuł się widocznie w swoim żywiole i najwyraźniej tryskał optymizmem.

— Podjęliśmy również działania -- mówił — w czterech przedsiębiorstwach, których nazwy figurowały w notatkach Kołodziejczyka...

Przestałem cokolwiek rozumieć, zagubiony w gąszczu-faktów, nazw i nazwisk. Z powodzi słów wyłowiłem jedynie informację, że kradzioną przędzę brał także zaopatrzeniowiec spółdzielni „Penelopa” w Zaborowie. Oczywiście, ani przez chwilę nie łudziłem sie, że Wszystkie nazwiska przestępców są już znane. Prawdopodobnie lista sześciu osób z „Polmeru” zostanie jeszcze powiększona o kilku ludzi

— zaopatrzeniowców czy kierowników sklepów sprzedających lewy towar. Ale niech się Kaczmarek tym martwi. Mnie głowa bolała od hamletyzowania nad inną sprawą. Pułkownik szybko udowodnił, że ta migrena ma realne podstawy.

— Pięknie — powiedział, zabierając mi ulubione powiedzonko, które powtarzam, jak zacinająca się płyta. — Pięknie. Sprawa nabiera szybkiego tempa. Ale są jesz-cze inne kwestie. Na przykład podpalenie. Co ustalił pion operacyjny?

Najwłaściwsza byłaby krótka odpowiedź, że nic. Wbrew pozorom nic jestem jednak szaleńcem. Opisałem w skrócie nasze poczynania, z których także wynikało, że zero równa się zero, ale nikt nie

mógł nam zarzucić lenistwa. Nikt, z wyjątkiem pułkownika.

— ...a był to ktoś doskonale znający zakłady i czyja obecność nie wzbudziła jakichkolwiek podejrzeń. Jednocześnie doskonały chemik.

— A może sprawdzić alibi wszystkich chemików zakładowych? - włączył się z genialnym pomysłem Kaczmarek. — Alibi na czas pożaru...

— Podpalacz nie jest idiotą — skomentował pułkownik. — Pewnie na cały wieczór zagwarantował sobie wspaniałe alibi. Czytałem raport. Gasząc pożar strażacy zatarli wszelkie ślady, jeśli oczywiście jakiekolwiek były. Nie sposób też ustalić, z jakim opóźnieniem działał, zapalnik chemiczny urządzenia, które wywołało pożar. Technicy mówią coś o trzech godzinach, ale to- raczej wróżenie z fusów. Pozostaje tylko działanie operacyjne.

— Jedno wiemy, że podpalaczem nie był Brzozowicz — zauważyłem.

— Dobrze, że chociaż to wiemy — żachnął się pułkownik. ~~ Gdybyście go wtedy nie puścili na szosie... ech! Szkoda gadać. I tak nie wiemy najważniejszego.

— Nie rozumiem — zdziwił się Kaczmarek. — Przecież wiemy już bardzo dużo. Większość aferzystów siedzi. Znamy praktycznie cały mechanizm nadużyć...

— Znamy mechanizm — przerwał pułkownik — ale nie znamy konstruktora.

— Jak to?! Z zeznań wynika, że Brzozowicz był...

— Brzozowicza zostawcie w spokoju. Uciekł moim fajtłapom i ma teraz ważniejsze zmartwienie niż troska o zacieranie śladów. Ale przecież ktoś zmontował całą aferę i dbał, aby wszystko grało. Ktoś otrzymywał informacje o terminach remanentów. I ktoś chciał podpalić magazyn. Takich rzeczy nie robi się dla żartu, kapitanie Kaczmarek. Nazwiska tej osoby nie znajdziemy w protokołach przesłuchań...

Gonczar miał rację. Jak dotąd poznaliśmy tylko realizatorów sprytnego planu nadużyć, ale sam planista pozostawał w cicniu. Aresztowani chyba rzeczywiście nie wiedzieli o nim nic, skoro jednomyślnie wymieniali nazwisko Brzozowicza. Poczułem coś w rodzaju podziwu dla pomysłodawcy afery. Przecież jednym z jej elementów było absolutne bezpieczeństwo szefa gangu. Nawet, a może przede wszystkim, w przypadku niepowodzenia czy wpadki. Zaiste makiawelska kalkulacja: podwładni idą do więzienia, a o szefie nikt nic nie wie. Pięknie. Tylko czy na pewno nikt o nim nie wiedział? Brzozowicz mógłby chyba nam wyjaśnić, kto był szefem.

Tak czy inaczej musimy ująć tego człowieka. O ile oczywiście nie popełniliśmy błędu w rozumowaniu i o ile taki człowiek w ogóle istniał.

13

Odprowadziłem dziewczynę i mniej więcej o pierwszej w nocy byłem już w domu.

W ciągu ostatnich kilku godzin mogłem pozwolić sobie na luksus zapomnienia o ludziach, których działalność nie pozwala na zlikwidowanie przykazań boskich i kodeksu karnego. Co prawda, po wyjściu z teatru twardo utrzymywałem, że nowa wersja „Balladyny" lekceważy problemy współczesności. Na przykład Goplana, zresztą świetna aktorka — powinna jeździć na wuefemce lub fiatem 126p. Uważam. że zaoszczędzilibyśmy dewiz i choć do hondy łatwiej o części zamienne, to jednak stracono okazję zareklamowania naszego przemysłu motoryzacyjnego. Zostałem jednak skarcony i w kwestiach artystycznych trzymałem buzię zamkniętą.

Cokolwiek by mówić, były to przyjemne godziny. Możecie mi wierzyć. Następne były już mniej przyjemne.

Około pierwszej trzydzieści zadziałał . telefon., śmiertelnie znienawidzony wróg każdego milicjanta. Pomyślałem, że jeśli tak dalej pójdzie, to szybko wyciągnę kopyta.

Podniosłem słuchawkę.

Dyżurny centrali zawiadomił, że znaleziono Brzozowicza. Nie „zdjęto", „schwytano", „aresztowano". Powiedział „znaleziono[5]'. Nie musiał więcej mówić. W naszym żargonie ma to jednoznaczną wymowę.

W godzinę później siedziałem już w kabinie śmigłowca lecącego do Jurowa. Właściwie powinienem żywić niekłamany podziw dla technicznej sprawności aparatu ścigania. Wszystko działo się błyskawicznie. Byłem jednak tak zaspany, że nawet dziwić się nie miałem ochoty. Nawet chcieć mi się nie chciało. Pięknie, nie ma co!

Przed odlotem pozostawiłem polecenie dla Szemiota, aby porozmawiał rano z kandydatką do schedy po Brzozowiczu, panią -Wójcik. Poleciłem komu innemu, by sprawdził, kto z „Polmeru" i nadzorującego fabrykę zjednoczenia wystąpił o paszport.

I to właściwie byłoby wszystko w ciągu tych trzech dni.

14

Z nawyku spojrzałem na zegarek. Czwarta pięćdziesiąt. Zapowiadał się upalny dzień.

Jańczak po chwilowym wstrząsie doszedł do siebie i z gotowością odpowiadał na pytania, zerkając lękliwie na krzątających się funkcjonariuszy. Zwłoki Brzozowicza znalazł dozorca, który około północy robił obchód terenu. Zawiadomił milicję. Kropka. W tym miejscu kończyły się wiadomości pana Jańczaka.

Obiekt, którym kierował, składał się z domu wczasowego o groteskowej nazwie „Rusałka", kilkunastu slumsów z dykty nazywanych domkami campingowymi, trzech eleganckich pawilonów oraz z terenów sportowo-rekreacyjnych: plaży z kąpieliskiem, placów do gry i przystani ka-jakowo-żeglarskiej. Fachowość powyższego opisu i nomenklaturę zaczerpnąłem z wywodów Jańczaka i podaję na jego odpowiedzialność. W sumie ośrodek prezentował się nieźle i chętnie wybrałbym się tutaj na wczasy.

Ładne miejsce, nie da się ukryć. Pisałem o tym wcześniej. Zresztą mniejsza o to. Ważniejszy wydał mi się fakt, że cały ośrodek stanowił własność zakładów włókienniczych „Polmer".

Właśnie tutaj wybrał się Brzozowicz w ostatnią w życiu podróż.

— I to wszystko, co wiem — powtórzył Jańczak.

— Pięknie — odparłem. — Ale to nic wszystko. Dopiero początek. Jestem cholernie ciekawskim facetom. Mam wiele pytań, panie Jańczak.

— Nie wiem, o co panu chodzi...

— Nie szkodzi, ja wiem. Zacznijmy od podstawowej sprawy. Proszę sporządzić listę osób, które przebywają tutaj na wczasach. Wie pan, szczegółową listę.

— Wszyscy są zameldowani i...

— Panie Jańczak, nie bawmy się w ciuciubabkę. Interesują mnie również te osoby, które nie są zameldowane. Przede wszystkim te osoby.

— Ależ ja zawsze zgodnie z przepisami...

..... Panie Jańczak, nie czarujmy się. W

każdym ośrodku są pokoje gościnne. W porządku, u pana też. W każdym ośrodku jest kilka domków campingowych o nieco lepszym wyposażeniu. Lodówka, dywaniki, mebelki. Z wierzchu

wygląda taki domek całkiem normalnie, ale jak się zajrzy do środka, to ho, ho! Rozumiemy się?

— Nie bardzo.

— Dobrze. Wyjaśnię to panu... — Wyjaśniłem.

Znałem już kilka podobnych ośrodków wczasowych. Pokoje gościnne, domki campingowe ze świetnym wyposażeniem. A wszystko spełniało rolę tak zwanej chaty, aby można było wpaść do ośrodka na weekend w miłym mieszanym towarzystwie. Rezerwa dyspozycyjna pana kierownika. W Jurowie nie było inaczej. Telefon — i kochany pan Jańczak uruchamiał swoje możliwości lokalowe. Pełna kultura, absolutna dyskrecja, cisza i spokój. Uroki przyrody. Pięknie.

Jańczak słuchał moich wywodów ze wzrastającym niepokojem.

— Ja o niczym nic wiem... Naprawdę...

— Panie Jańczak, za długo pracuję w milicji, żeby wierzyć w bajeczki. Bo to są bajeczki. Zamordowano człowieka, a pan zamiast pomóc opowiada mi dyrdy-małki. Niech pan się nie wplątuje w taką śmierdzącą sprawę. Dobrze panu radzę.

— Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego...

— I bardzo dobrze. Proszę przygotować mi te lisię. Bardzo pana proszę. Ogromnie mi na tym zależy. Mam muło czasu. To wszystko.

Moja wiedza o Jańczaku nie wzięła się z sufitu. Oprócz doświadczenia milicyjnego wzbogacony byłem informacjami, w jakie zaopatrzyli mnie koledzy z miejscowego posterunku. Powiedziałem o tym panu kierownikowi ośrodka. Zrozumiał.

— To... to nie jest karalne — ni to spytał, ni stwierdził.

— Mam mało czasu, panie Jańczak — powtórzyłem z rozbrajającym uśmiechem.

— Chryste, jaki ja jestem niecierpliwy...

— Ja zaraz... natychmiast... tylko rozumie pan...

Ciekawostka. Pan kierownik był bardziej przejęty faktem, że jego interesiki wyszły na jaw, niż morderstwem. Zdarza się.

— Nie ma sprawy, panie kierowniku. Wszystko zostanie między nami.

Jańczak odszedł do swego biura. Byłem dziwnie spokojny, że dołoży wszelkich starań, aby zasłużyć na moje podziękowanie. Podobnie jak zasługiwał ńa wysokie oceny swych zwierzchników, którym ułatwiał randki. Można to nazwać jeszcze inaczej, ale dajmy sobie spokój z rozważaniami o etyce.

Interesowało mnie, z kim Brzozowicz miał się spotkać w ośrodku wczasowym.

Człowiek, z którym spotkał się Brzozowicz, mógł przebywać tu na urlopie. Mógł również przyjechać wczoraj z Warszawy. Postaram się dowiedzieć, kto to był, bo przecież umówił się jakoś z magazynierem. Takie umówione spotkanie zawsze pozostawia za sobą ślad. Telefon, telegram, może rozmowę usłyszaną przez przypadkowego świadka... Drobiazgi, cieniutkie nitki poszlak, strzępy informacji, z których staramy się zrekonstruować przebieg zbrodni.

Dlatego liczyłem na Jańczaka. Był wystarczająco przestraszony, aby mówić prawdę. Zostawiłem mu trochę czasu do namysłu. Co prawda, jego talenty kierownicze nie budziły we mnie zaufania. Być może jestem uprzedzony, ale nie powierzyłbym mu kierowania nawet budką telefoniczną.

Podszedłem do radiowozu.

Poleciłem jednemu z miejscowych wywiadowców, aby dyskretnie obserwował poczynania pana kierownika. Nie spodziewałem się niespodzianek z tej strony, ale przykład Brzozowicza nakazywał przesadną ostrożność. Połączyłem się. z komendą wojewódzką i poprosiłem oficera dyżurnego o przygotowanie raportu z pracy milicji drogowej. Interesowali mnie kierowcy, którzy w

ciągu ostatnicłi dwudziestu czterech godzin mieli do czynienia z „drogówką” na trasie Warszawa—Jurów. Być może ten, kto spieszył się na spotkanie z Brzozowiczem, albo kto wracał w pośpiechu do Warszawy, zapłacił na przykład mandat za przekroczenie szybkości. Wielu pracowników „Polmeru” miało samochody. Motoryzujemy się w szybkim tempie.

Była to dość ulotna nadzieja, ale lepiej sprawdzić, niż żałować poniewczasie. Zresztą nie miałem większego wyboru. Jak dotąd wyniki śledztwa były więcej niż mizerne.

Zjawił się sierżant Janicki.

— Pies wysiadł — powiedział ze złością. — Pokręcił się, doprowadził nas na brzeg jeziora i zgubił ślad. Tyle.

— Psiakrew! — zakląłem stosownie do tematu rozmowy. — Znowu pudło.

— Niezupełnie — odparł sierżant. — W portfelu denata znaleźliśmy bilet na imprezę do Sali Kongresowej. Na dzisiaj na dwudziestą zero zero.

— Pięknie — powiedziałem z przyzwyczajenia. — Brzozowicz miał zainteresowania kulturalne. Szkoda, że nie zdążył wykorzystać biletu.

— Szkoda — Janicki udawał, że nie zauważył ironii. — Ale bilet kupił wczoraj... Jest data sprzedaży.

Wybuch bomby nie zrobiłby na mnie większego wrażenia. Uciekający przestępca kupuje bilet na „Muzykoramę". Po eo? Żeby odprężyć się nerwowo? Dla relaksu? Bzdura. Była inna przyczyna i domyślałem się jaka.

Dziękuję panu — powiedziałem z niekłamaną wdzięcznością.

Miałem powody dziękować Janickiemu. Być może przegapiłbym tę sprawę.

Kiedy ustaliliśmy z sierżantem zadania na następne godziny, najzupełniej przypadkowo spojrzałem w stronę uśpionego domu wczasowego „Rusałka”. W oknie na drugim piętrze zauważyłem refleks światła. Jakby niesforny malec puszczał „zajączki” w naszą stronę, bawiąc się lusterkiem.

Na drugim piętrze domu wczasowego „Rusałka” ktoś nas obserwował przez lornetkę. Może z ciekawości, a może cierpiał na bezsenność.

15

Dzień był nieprzyzwoicie piękny. Z nieba lał się suchy wrzątek rozprażonegp powietrza, a dochodziła dopiero, dziesiąta. Siedziałem w pokoju Jańczaka zmęczony wrażeniami ostatniej nocy i przytłoczony wlewającym się do pokoju żarem. Otwarte okno nie dawało nawet złudzenia wentylacji. Natomiast mogłem przez nie obserwować rozleniwionych wczasowiczów, którzy po śniadanku wybierali się na plażę. Sam też chętnie poszedłbym się po-byczyć na słoneczko, ale po śniadaniu czekały mnie inne zajęcia.

Pfeyszło mi na myśl, że. pogoda jest wymarzona na urlop. Właśnie dokładnie taka, jak trzeba.

— Pan ma zachwaszczoną wyobraźnię, kapitanie — perorował szczupły mężczyzna w okularach wielkich jak w^r^rota stodoły. — Skrzywienie zawodowa...

— Pięknie — powiedziałem. — Niech pan od razu uzna mnie za idiotę. Po co te wstępy? Po co tyle gadać w^r^ taki upał?!

Mój rozmów-ca, inżynier Juliusz Marzec, był naczelnikiem wydziału w zjednoczeniu nadzorującym „Polmer”. Pogawędka nam się jednak nie kleiła. Marzec nie miał nastroju do zwierzeń. Podobnie zresztą jak siedząca obok Weronika Gródecka, żona dyrektora „Polmeru”, o której w-arto

napisać kilka słów.

Pani Gródecka miała co najmniej o trzydzieści kilo mniej niż mój ideał kobiety i przypominała raczej wysuszoną strzygę. Stanow-czo dyrektor Gródecki nie miał dobrego dnia, kiedy stanął na ślubnym kobiercu. Ta napuszona baba odznaczała się nie tylko wielkim mniemaniem

o własnym intelekcie, ale przede wszystkim blond peruką noszoną nawet w czasie największego upału, makijażem aktorki z kiepskiej komedii i dwoma złotymi zębami, co miało przesądzać o guście

i elegancji właścicielki. Obłęd. Stanowczo urok osobisty nie był jej mocną stroną. Nie da się ukryć, że Gródecka działała mi na nerwy.

Przepraszam — zmitygował się Marzec — ale zdenerwowałem się...

— Właśnie wsparła go Gródecka — jesteśmy zdenerwowani tym wszystkim i chyba pan rozumie, że...

- W porządku. Pan jest zdenerwowany, pani jest zdenerwowana, ja jestem zdenerwowany. Wszyscy mamy skołatane nerwy. To już ustaliliśmy. Przejdźmy może do tematu... — Co mnie to obchodzi, że są zdenerwowani. Mam ważniejsze problemy.

Mniej więcej godzinę temu Jańczak wywiązał się z zadania na piątkę i otrzymałem kompletną listę osób, które bawiły w „Rusałce". Większość przebywała na wczasach z błogosławieństwem dyrekcji i rady zakładowej. Ponadto figurowało na liście kilku znajomych Jańczaka oraz dwie osoby, z którymi właśnie rozmawiałem.

— Może nieco jaśniej — poprosił Marzec z delikatną ironią.

— Co państwo robili wczoraj w nocy?

— zapytałem.

— Graliśmy w brydża, w moim pawilonie wyjaśniła z godnością Gródecka.

— Nie rozumiem jednak celu tych indagacji. Czy pan nas podejrzewa?

Pawilon znajduje się jakieś osiemdziesiąt metrów od miejsca zbrodni...

— Powiedziałem i powtarzam - przerwał mi inżynier. — Wszyscy siedzieliśmy razem mniej więcej do drugiej. Nic nie widzieliśmy, bo było ciemno. Nic nie słyszeliśmy. To wszystko.

Kto grał jeszcze w brydża?

Nie rozumiem — wtrąciła Gródecka.

— W brydża nie grywa się w duecie — wyjaśniłem ze słodyczą.

Gródecka i Marzec wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Może zresztą tak mi się tylko wydawało.

— No więc — grał pan magister Klimowicz.. kierownik zbytu w ,.Polmerze" i... pani Wójcik — powoli wyliczył Marzec. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Interesujący wydał mi się skład personalny tego brydżyka. Fisza ze zjednoczenia, kierownik działu i pretensjonalna żona dyrektora, a tu nagle zwyczajna szeregowa pracownica. Pani Wójcik musiała mieć nadzwyczajne walory osobiste, jeżeli tyle osób czuło do niej sentyment, z wicedyrektorem Wolańskim włącznie. Coraz bardziej miałem ochotę ją poznać. Niestety, wyjechała nad ranem wezwana służbowo do zakładów. Rozminęliśmy się w drodze. Szkoda.

Szkoda również, że od rana zapodział się gdzieś Klimowicz, który w zakładach był zwierzchnikiem Kołodziejczyka. Wprawdzie z tego faktu nie powinienem wyciągać zbyt daleko idących wniosków, ale dla spokoju sumienia chciałem pogawędzić z panem kierownikiem.

A co do składu osobowego czwórki brydżystów... Żyjemy w demokratycznym państwie, każdy dobiera sobie towarzystwo według uznania, ale istnieją tak zwane układy i hierarchia służbowo-towarzyska. Marzec i Gródecka zajmowali najlepsze domki campingowe, a raczej dość luksusowe

pawilony. Byłem zupełnie spokojny, że nie muszą także czekać na kelnerkę przy obiedzie czy stać w kolejce po kajak. Co prawda z faktu, że ktoś wykorzystuje stanowisko służbowe do ułatwienia sobie życia, nie wynika nic interesującego dla milicjanta, ale daje trochę do myślenia. Alicja Wójcik nie bardzo pasowała do tego towarzystwa. Może po prostu brakowało czwartego do brydża? Zdarza się.

Miałem więc całą masę pytań.

— Nie mam żadnych pytań — odpowiedziałem Marcowi. — Tylko jedno. W jaki sposób pani Wójcik pojechała w nocy do Warszawy? Przecież nie pociągiem, ani autobusem...

Znów odniosłem wrażenie, że para moich gości wymieniła porozumiewawcze spojrzenie. Coś za dużo mi się wydaje. Będę musiał wpaść do lekarza.

— Nie mam pojęcia... — odparł ostrożnie Marzec. — Może zabrała się z kimś.

Zgaduj zgadula. Może z kimś sio zabrała, może pojechała autostopem, może na rowerze. O trzeciej w nocy! Pięknie. Sama mi to wyjaśni.

— Ludzie na pewnym poziomie — za-ćwierkała Gródecka — nie interesują się sprawami prywatnymi innych. Dlaczego więc...

Nareszcie ktoś zwrócił uwagę na moje braki w wychowaniu. Miałerę ogromną chęć powiedzieć kilka słów Gródeckiej, ale spojrzałem na nią i mi przeszło. Z równym powodzeniem mógłbym noworodka uczyć logarytmów.

— Nie jestem człowiekiem na odpowiednim poziomie — wyjaśniłem. — Popełniono morderstwo i chcę ująć sprawcę. Bez pomocy innych ludzi nic nie zdziałam. Cieszę się, że mi państwó tak bardzo pomogli. Wszystko. Dziękuję.

Po wyjściu doborowej pary zjawił się wywiadowca.

— Sprawdziłeś? — zapytałem.

— Tak. Błyskawiczna do Warszawy. Wczoraj. Jedenasta dwadzieścia w południe. Dzwoniła z poczty.

— Kto?

Alicja Wójcik. Mam numer, z którym łączono. Zakłady „Polmer”.

— Pięknie...

Wszystko było pozornie w najlepszym porządku. Tylko dlaczego pani Wójcik dzwoniła do Warszawy, a nie ktoś z „Polmer u” do niej?

Stanowczo muszę poznać bliżej zastępczynię Brzozowicza.

Zamówiłem błyskawicę do Warszawy, zakłady „Polmer”, z przywołaniem porucznika Szemiota.

16

Szemiot, siedząc po drugiej stronie telefonicznego kabla, zawiadamiał mnie, że właściwie nie zdarzyło się nic godnego uwagi, śledztwo trwa nadal, zeznania są coraz obszerniejsze, i nikt specjalnie za mną nie tęskni.

— Joanna też nie? — upewniłem się.

— Wyobraź sobie, że nie — dobił mnie rozmówca.

— Pięknie — powiedziałem. — A rozmawiałeś już z panią Wójcik?

— Byłoby to dość trudne. Nie zjawiła się w pracy. Ten pajacowaty wicedyrektor Wolański chodzi wściekły, bo nie może uruchomić magazynu.

Nie wiadomo dlaczego wiadomość, że Wolański jest wściekły, sprawiła mi przyjemność. Człowiek to skomplikowana natura, ale mało mu potrzeba do szczęścia.

— Trzeba było wysłać po nią do domu — zauważyłem.

— Pojechał tam szofer z zakładów i ktoś od nas. Pani Wójcik nie ma w domu.

— A więc chyba nie pojechała do Warszawy — powiedziałem z rezygnacją.

— A więc chyba nie pojechała — odparł Szemiot.

— Dobra, mniejsza o nią. Słuchaj. Dzisiaj o dwudziestej muszę być w Sali Kongresowej. Załatw bilety dla mnie i dla trzech chłopców.

— Chcesz się relaksować w obstawie?

— Otóż to.

Wyjaśniłem Szemiotowi, że jedynym śladem, jaki znaleźliśmy przy zwłokach Brzozowicza, jest bilet na „Muzykoramę”.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, poczułem zniechęcenie. Stanowczo w tej historii mi się nie wiodło. Nie ma się co oszukiwać.

Wszedł Jańczak. Ciągle miał ten sam wyraz twarzy: pełne napięcia ugrzecznie-nie.

— Przepraszam — powiedział — muszę jechać do miasteczka... Czy ma pan jeszcze jakieś polecenia?

— Jedną prośbę, panie kierowniku. Gdzie mieszkała pani Wójcik?

— W tym pawilonie nad samym jeziorom. Teraz jest pusty.

Ciekawe. Jeden z luksusowych pawilonków zajmowała zastępczyni Brzozowicza. Moje pojęcie o fabrycznej hierarchii uległo małej korekcie.

— Na czyje polecenie przydzielił jej pan pawilon?

— Dyrektor kazał.

— Wolański? - zapytałem z nadzieją, że elegancik z „Polmeru” nie ma najczystszego sumienia.

— Nie, panie kapitanie. To było polecenie dyrektora Grodeckiego.

— Rozumiem... No cóż, dziękuję panu za pomoc i do widzenia. Ja też zaraz wyjeżdżam.

— Do widzenia panu... — Jańczak już włączył wsteczny bieg, ale prey samych drzwiach jeszcze raz się odwrócił. — A

o tych moich... dodatkowych gościach, to pan nic nie powie, prawda?

— O jakich dodatkowych gościach pan mówi, panie Jańczak? Nic o nich nic wiem.

Jańczak uśmiechnął się. Chyba po raz pierwszy zauważyłem u niego jakąś ludzką reakcję.

— A gdyby pan chciał, panie kapitanie, przyjechać na wczasy...

Tym razem ja się uśmiechnąłem. W gruncie rzeczy sytuacja była zabawna.

— Dziękuję za pamięć. Bardzo ładnie tutaj u pana. Może przy okazji wrócimy do tematu.

Teraz się spieszę, a muszę jeszcze porozmawiać z Klimowiczem. Gdzieś zniknął od rana. Nie widział go pan?

Jańczak miał na końcu języka odpowiedź, że nie, ale spojrzał w okno.

— O, lam... Właśnie idzie.

O kilkadziesiąt metrów od budynku szedł szczupły, siwy mężczyzna w jasnych spodniach i modnej koszuli w kratę.

— Dokąd prowadzi ta ścieżka?

— Brzegiem jeziora przez las — wyjaśnił Jańczak.

Ruszyłem za Klimowiczem. Uwielbiam rozmowy w przyjemnej atmosferze. Trudno znaleźć lepszą niż w czasie spaceru po lesie.

17

była nim rzeczywiście. Klimowicz doskonale wiedział, dokąd idzie, aczkolwiek chciał utrzymać cel swojej wyprawy w tajemnicy.

Minął jakiś zagajnik i wreszcie po pięciu minutach dotarł do małego pagórka. Zaczął wdrapywać się na skarpę i po chwili zniknął w gęstych krzakach na szczycie wzniesienia.

Zagajnik od skarpy dzieliło dobre kilkadziesiąt metrów odkrytej przestrzeni i zastanawiałem się. czy iść dalej, ryzykując dekonspirację, czy też czekać.

Rozterka trwała kilkanaście sekund, może dłużej — mniejsza o dokładność. Przerwał ją nagle spazmatyczny krzyk przerażonej kobiety.

Przestałem się bawić w podchody. Biegnąc w stronę skarpy z nawyku sięgnąłem pod lewą pachę. Ale nie zabrałem z sobą broni. Trochę z lenistwa, bo w tym upale nie nosiłem kurtki i nie miałem gdzie schować służbowego „czaka". Poza tym nie spodziewałem się w Jurowie spotkać ludzi, do których mógłbym strzelać.

Gdy wdrapywałem się po stromej skarpie, usłyszałem drugi krzyk, równie dramatyczny. I nie wdadomo dlaczego pomyślałem o Alicji Wójcik, kobiecie, która podobno wyjechała z Jurowa tuż po zabójstwie. O trzeciej w[r] nocy. Nie wiadomo w jaki sposób. I która nic dotarła do Warszawy.

Tylko co się właściwie mogło siać?

18

Sierżant Janicki był najwyraźniej z siebie zadowolony. Po raz pierwszy od dłuższego czasu.

— Nareszcie coś mamy — oznajmił z triumfem. — Pełne dwa komplety odcisków palców. Dokładne, wyraźne, czytelne... Zupełnie jak na pokazowym seminarium dła studentów kryminalistyki.

— Jeden komplet pasuje chyba do rączek pani Alicji Wójcik — zauważyłem. —

Ostatecznie mieszkała w tym pawilonie.

— Możliwe, ale drugi zostawił mężczyzna.

Pięknie — powiedziałem. — Znajdziemy paluszki pasujące do tych odcisków.

— To on? — spytał sierżant,

— Chyba on... — odparłem ostrożnie.

19

Pomysł żebrania odcisków palców w pawilonie podsunęła mi rozmowa z Klimowiczem.

Kiedy godzinę temu wspiąłem się wreszcie po skarpie, na pagórku nie działo się nic na tyle dramatycznego, aby wymagało interwencji milicjanta. Widok, jaki ujrzałem. był w równym stopniu atrakcyjny, co wesoły.

Trzy dziewczyny, jedna zgrabniejsza i ładniejsza od drugiej, urządziły sobie solarium na małej polance. Wystraszone przez Klimowicza, usiłowały dość nieudolnie zasłonić swoje wdzięki mikroskopijnymi kawałkami tkaniny. Stanowczo kostiumy typu bikini nie nadają się do roli parawanu, a o tym, żeby je po prostu włożyć, panienki jakoś nie pomyślały. Striptiz był pierwszorzędny, daję słowo.

Żaden opis nie odda walorów takiego widoku. Chętnie dodałbym jeszcze parę szczegółów, ale żyjemy — mimo wszystko

— w dość purytańskich czasach.

W każdym razie odkryłem nie tylko urok nagiego ciała na tle wyzłoconej słońcem przyrody, ale i cel tajemniczej wędrówki pana Klimowicza. Zważywszy, że bezbłędnie trafił na polankę i nawet wziął ze sobą lornetkę, nie była to jego pierwsza wyprawa w celach — powiedzmy — poznawczych.

Szkoda wysiłku, panie Klimowicz

— powiedziałem, gdy usiłował zrejterować z pagórka w dość szybkim tempie. — Bieganie w taki upał szkodzi zdrowiu...

Klimowicz zatrzymał się i spojrzał na mnie jak na upiora. Ani przez chwilę nie usiłował udawać, że nie wie, kim jestem, co zaliczyłem mu na plus. Inna sprawa, że ściskał w garści lornetkę, przez którą wystarczająco dokładnie obejrzał mnie rano.

— A... to pan — wykrztusił wreszcie z ulgą. — Trafiłem tutaj przypadkowo:.. Najzupełniej przypadkowo... A dziewczyny narobiły takiego wrzasku... — tłumaczył się nieudolnie.

— Może miały nieczyste sumienie — zauważyłem — i stąd ten krzyk.

— Co też pan... Przestraszyły się po prostu.

— Pięknie — powiedziałem. -- Szukam pana od świtu i dobrze, że spotkaliśmy się przez przypadek. Pogawędzimy sobie spacerując po lesie. Ja też tu jestem najzupełniej przypadkowo.

Jeżeli nawet w powyższych słowach zabrzmiała nutka ironii — a zabrzmiała, o ile siebie znam — to przyznacie, że była całkiem usprawiedliwiona. Nie lubię, gdy dorośli ludzie bawią się w ciuciubabkę.

— Niech pan pyta, kapitanie — rzekł Klimowicz, zupełnie już uspokojony, że striptizowa eskapada poszła w niepamięć. Jednak najbliższe- chwile miały wykazać, jak bardzo się pomylił.

Zanim zdążyłem nabrać powietrza w płuca i wykrztusić pierwsze pytanie, z lasu Wyskoczyło trzech chłopaków. Towarzyszyła im jedna z nagich Gracji, które oglądałem przed chwilą na polanie. Wprawdzie przywdziała już sukienkę, ale mówiąc uczciwie, bez niej prezentowała się o wiele lepiej.

— To ten — powiedziała wskazując na Klimowicza. — Poznaję go...

Najwyższy z chłopaków podszedł do mojego rozmówcy, zupełnie mnie ignorując.

—Ty smutny pajacu! — zaczął mowę. Ty erotomanio za dychę! Domokrążco seksualny! Nogi ci z dupy powyrywam, baranie!

Klimowicz miał zbyt wielką cykorię, aby wydusić z gardła choćby słowo protestu czy usprawiedliwienia. Nie zareagował ani na obietnicę, ani na dość bezpośrednią formę „ty”. Fakt, że używane przez chło-paka słownictwo tłumaczyło przyjętą przez niego swobodę norm towarzyskich. Na przykład zwrot „panie baranie” nie miałby wystarczającej mocy oddziaływania.

Postanowiłem włączyć się do rozmowy, bo pachniało niezłą awanturką. Tylko właściwie, co

mogłem wytłumaczyć trzem rozwścieczonym dryblasom? Mieli nieco racji w swoich pretensjach, choć dyskutowałbym nad sposobem jej przedstawiania. Zwłaszcza przy damie.

Ale nic było czasu na długą dyskusję. Nie było czasu na żadną dyskusję. Nawet gdybym wiedział, jakich użyć argumentów. A nic wiedziałem, jakich.

Pamiętam jednak, że milicjant powinien stać na straży porządku publicznego i bezpieczeństwa obywateli. Uczono mnie tego w szkole milicyjnej. A za bezpieczeństwo obywatela Klimowicza nie dałbym nawet złotówki.

—Synu — rzekłem pojednawczo — daj spokój. To się więcej nie powtórzy.

— Gówno prawda — skomentował moje wystąpienie najwyższy z trójki.

— Odsuń się koleś — zaproponow-ał drugi. — Dobrze ci radzę. Nic do ciebie nie mamy.

— Nie lubię płaczu niewinnych ludzi — dodał filozoficznie trzeci.

Przysunęli się do mnie nieco za blisko, ale w dalszym ciągu miałem nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

— Synkowie powiedziałem z naciskiem — dajcie spokój i bądźcie grzeczni. Bardzo was proszę. Ale póki proszę. Jestem z milicji.

Nie zareagowali na ostatnie słowa, jeśli ich treść w ogóle do nich dotarła. O Klimowiczu niemal zapomnieli. Nie ruszyłem nawet ręką w stronę schowanego w kieszonce znaczka służby operacyjnej MO.

I bardzo dobrze, że nie ruszyłem.

Przez następne kilkanaście sekund obie ręce miałem ogromnie zajęte. Były to cholernie fatygujące sekundy.

Nie mieli pojęcia o walce wręcz. Cokolwiek jednak tłumaczyło ich wrściekłość, to przecież nie usprawiedliwiało ataku trzech na jednego. Nie cierpię takich bohaterów'

i nie widziałem żadnego poważnego powodu, aby im nie dać nauczki. Cóż, człowiek

uczy się na błędach przez całe życie. Pedagogika społeczna i wychowanie to najtrudniejsze problemy współczesności.

Z dwoma nie było żadnych kłopotów. Zarówno obrona przed sierpowym, jak i przed kopnięciem w podbrzusze, należą do łatwiejszych chwytów dżudo. Każdy podręcznik sztuki samoobrony wyjaśnia to w-pierwszym rozdziale. Ale gdy dwaj delikwenci położyli się na ziemi bez słowa skargi, trzeci skoczył na mnie od tyłu. Uznałem to za zagranie nie fair, godne pokazania mu czerwonej kartki. Facet otrzymał cios łokciem w dołek i poprawkę kantem dłoni w nasadę karku. Dość mocno. Upadł jak worek sieczki.

Klimowicz patrzał na rozwój wypadków z wdziękiem dobrze zasuszonej mumii. Na jego pomoc nie mogłem liczyć ani przez sekundę, ale chyba zasłużyłem na wdzięczność. Cokolwiek by mówić, wyratowałem go z niezłej opresji. Dostałby baty, że szkoda słów! Dziewczyna wydawała się też nieźle zaskoczona obrotem sprawy, ale dostrzegłem w jej oczach coś jakby podziw...

Trzej młodzieńcy podnosili się w ponurym milczeniu. Widocznie nie mieli nic ciekawego do wyznania.

— Przepraszam — powiedział Wreszcie ten trzeci masując kark. — Straciłem głowę.

— Jeszcze nie. synku — odparłem — ale możesz stracić. Samosąd jest bardzo brzydką sprawcą. Co najmniej trzy paragrafy kodeksu karnego, nie licząc przykazań kościelnych.

Po tym pedagogicznym spiczu pokazałem chłopakom znaczek MO, czyli tak zwraną blachę.

— Mówiłem, że jestem z milicji. A my znamy takie sztuczki.

— Ale ten facet — chłopak wskazał na Klimowicza — podglądał nasze dziewczyny.

— W porządku — powiedziałem. — Porozmawiam z nim. Możecie być spokojni, więcej się

to nie powtórzy.

Byłem dziwnie spokojny, że mówię prawdę. Klimowicz dostał dobrą nauczkę i.„. będzie obchodził ten striptizowy pagórek z daleka.

Spacerowym krokiem ruszyliśmy przez las w stronę ośrodka.

— Dziękuję panu za pomoc — ocknął się wreszcie Klimowicz.

— Nie ma sprawy. Ale nic zawsze będę mógł panu pomóc w takich sytuacjach. I nie zawsze będę miał na to ochotę. Rozumiemy się?

— Rozumiemy się. panie kapitanie.

— Pięknie. Porozmawiajmy więc o poważniejszych sprawach...

W Klimowiczu jakby pękła napięta struna. Czuł potrzebę zwierzeń. Przez całą drogę słuchałem historii starszego pana, który miał tylko rok do emerytury, i z którym w „Polmerze" nie liczono się za bardzo. Od sześciu lat, kiedy opuściła go żona, żył samotnie i nie miał zbyt wielkich wymagań.

— Kołodziejczyk jest dużo młodszy, ma wielkie ambicje i masę sprytu — mówił. — Właściwie od dawna on jest praktycznie kierownikiem działu. Jemu zawdzięczam przydomek „skleroza", którym określają mnie w fabryce. Już od dawna przeniesiono by mnie na jakieś gorsze stanowisko, ale Gródecki to mój przyjaciel od lat

i to mnie ratuje...

Klimowicz mówił o Kołodziejczyku w czasie teraźniejszym. Czyżby nie wiedział, co się stało z jego zastępcą?

— Wiem, oczywiście, wiem... Gródecka wczoraj plotkowała przy brydżu...

Powiedziałem mu, co w tej chwili robi jego sprytny i ambitny współpracownik. Nie zdziwił się specjalnie.

— Domyślałem się, że kombinuje... Za dużo szastał pieniędzmi. Od trzech lat na jego wniosek wprowadzono ścisły podział obowiązków. Odtąd zajmowałem się tylko planowaniem i perspektywicznymi programami rozwoju... Wie pan, taka robota, przy której dużo szumu, ale żadnych realnych obowiązków. W sam raz dla starszego pana. Mówi pan, że w końcu wydały się kanty... Cóż. był bardzo pewny siebie, a pewność rozzuchwala...

Diabli wiedzą dlaczego, ale poczułem coś w rodzaju współczucia dla lego zrezygnowanego mężczyzny. Może za wcześnie się poddał?

Spytałem Klimowicza o wczorajszy wieczór brydżowy.

— Skończyliśmy około drugiej. Pani Alicja chciała się jeszcze przespać, bo wezwano ją do zakładów.

— Ale nie poszła spać. O czwartej już jej nic było.

— Oczywiście, że nie. Odjechała razem z tym mężczyzną, który czekał na nią-w pawilonie. Widziałem, jak odjeżdżali kwadrans później.

Tak więc podróż Alicji Wójcik przestała być tajemnicą.

- Poznał pan tego mężczyznę? — spytałem. — Może samochód?

— Było ciemno, panie kapitanie... A poza tym nie zwróciłem specjalnej uwagi... To był duży liat...

— Pięknie — powiedziałem. — Poszukamy w takim razie kierowcy.

— Myśli pan, że to on zabił? — spytał Klimowicz.

— Tak myślę — odparłem.

Godzinę później sierżant Janicki powtórzył pytanie Klimowicza.

Powtórzyłem odpowiedź. Powiedziałem: „chyba on”, czy coś w tym rodzaju.

Lata milicyjnego stażu wyrabiają w człowieku jaką taką umiejętność odróżniania prawdy od kłamstwa i pozerstwa od szczerości. Klimowicz był ze mną szczery

i opowiedział prawdę. Może był nawet zbyt szczery. Ale każdy czasem ma ochotę zwierzyć się komuś. Nawet jeśli przy tej okazji uświadamia samemu sobie wiele spraw, o których dotychczas starał się nie myśleć.

Wierzyłem Klimowiczowi, a jego słowa szybko znalazły potwierdzenie w faktach.

Przeszukaliśmy pawilon zamieszkiwany do wczoraj przez Alicję Wójcik. Znaleźliśmy tam odciski palców człowieka, którego cenną zaletą była umiejętność pozostawania w cieniu. Ale coraz trudniej udawało mu się odgrywać rolę statysty.

— Na szklanych drzwiach pawilonu — dodał sierżant — znaleźliśmy też odcisk kciuka Brzozowicza. Tyle.

— A samochód?

— Poszycie lasu jest za twarde, a błoto na drodze za miękkie, aby utrwaliły się odciski opon. Ale coś wiemy. To był fiat 125p, opony typu „Michelin”, o małym przebiegu. Wóz stał kolo pawilonu około trzech godzin.

— Skąd ta precyzja? — spytałem zdziwiony.

— Zrobiliśmy fotografię terenu aparatem czułym na promieniowanie podczerwone. Stojący samochód napromieniował swoim ciepłem ziemię i ślad jest bardzo wyraźny. Tyle.

— Pięknie — powiedziałem. — Możemy wracać. Nie mamy tu już nic do roboty.

21

Do chwili rozpoczęcia koncertu interesujące nas dwa fotele w dziesiątym rzędzie pozostawały puste, chociaż „Muzyko-rama” zaczęła się z dwudziestominutowym opóźnieniem, które towarzyszący mi wywiadowca ocenił jako normalkę.

Sala Kongresowa wypełniona była dosłownie do ostatniego miejsca. Nawet w przejściach między rzędami ulokowali się na podłodze miłośnicy big-beatu. Stroje noszono dość swobodne. Widziałem wieczorowe kreacje pań i eleganckie dwu rzędówki panów, ale przeważały dżinsy, poncha, swetry i jakieś dziwaczne kombinezony w kolorze ścierek. Kilka postaci o trudnej do ustalenia płci nosiło nawet stroje, na widok których sam Wernyhora wpadłby w bezradną zadumę. Długość włosów młodych widzów przekraczała zwycięsko średnią europejską.

Jeżeli ktoś ma wątpliwości, że świat oszalał, niech przyjrzy się dokładniej modzie. Maluczko, a obowiązującym strojem eleganta stanie się zgrzebna koszula przepasana krajką, spodnie w kwiatki, a także łańcuch z dzwonkiem na szyi. O modzie damskiej nikt przy zdrowych zmysłach nie próbuje nawet dyskutować.

Po obu stronach dziesiątego rzędu stali wywiadowcy z przypiętymi plakietkami „służba porządkowa”. Ich zadanie polegało głównie na likwidowaniu prób zajęcia wolnych foteli przez intruzów bez biletu.

Podczas pierwszej części programu nie wydarzyło się na widowni nic godnego uwagi milicjanta. Natomiast na estradzie działy się rzeczy ogromnie interesujące każdego miłośnika muzyki młodzieżowej.

Najpierw wystąpiła „Asocjacja HA-GAW” z Andrzejem Rosiewiczem, a cała widownia śmiała

się i klaskała na przemian. Dowcipne teksty piosenek, pomysłowe gagi estradowe, dużo bezpretensjonalnego „happy-jazzu”, no i oczywiście Andrzej Rosiewicz w roli głównej.

Następnie przez kilka minut instalowano na scenie skomplikowaną maszynerię sprzętu i wzmacniaczy, godną elektrowni średniej wielkości. Konferansjer zapowiedział jakiś zespół awangardy beatowej, co nic wróżyło nic dobrego. Wiadomość, że muzycy używają przystawki gitarowej wah-wah przyjąłem z olimpijskim spokojem. Świadoma nieszczęścia część publiczności wybrała się do bufetu w kuluarach na piwo, a reszta musiała odcierpieć półgodzinne rzępolenie. Przypominało to trochę muzykę oszalałych czcicieli boga Słońca, a bardziej warsztat, w którym stroi się instrumenty.

Ale warto było czekać.

Na estradę wszedł ze swoim zespołem Wojciech Skowroński i kolejne kilkadziesiąt minut słuchaliśmy tego. jedynego w Polsce piosenkarza, który potrafi śpiewać bluesy.

Była to wspaniała muzyka. Przez te kilkadziesiąt minut zapomniałem, że znajduję się na koncercie służbowo i że są na święcie ludzie, których działanie przysparza mi pracy.

Ale już podczas przerwy przypomniałem sobie, w jakim celu znalazłem się w tej sali. A cel był oczywisty: czekałem na człowieka, który posiada drugi bilet na miejsce w dziesiątym rzędzie. Bliźniaczy bilet tego, który znaleźliśmy przy Ryszar-dzie Brzozowiczu. Czekałem na człowieka, który właśnie w Sali Kongresowej, wśród tłumu, miał spotkać się z magazynierem zakładów „Polmer”. I który już się nigdy 7. nim nic spotka.

I doczekałem się.

Pod koniec przerwy do dziesiątego rzędu podeszła młoda dziewczyna w sukience z dzianiny. „Porządkowy” poprosił ją o bilet, obejrzał kartkę papieru i skinął głową v/ moją stronę.

W trzy minuty później jechaliśmy z dziewczyną do komendy.

— W drugiej części występuje Maryla Rodowicz — westchnął wywiadowca. — Szkoda, że nie mogliśmy zostać... Niech to szlag trafi!

22

Szemiot wzruszył ramionami.

— Alicja Wójcik ma w „Polmerze” doskonałą opinię. Chciałbym mieć taką.

— Sprawdzałeś drugi raz? — spytałem.

Spojrzał na mnie z politowaniem. Widocznie .pomyślał, że ze zmęczenia dostałem zaniku pamięci. Ale cierpliwie wyjaśniał:

— Rano jej nie było. Wiesz, bo mówiłem ci przez telefon. Kiedy po przylocie powiedziałeś, co jest grane, wysłałem tam patrol służbowy „X”. Też nie zastali jej w domu. Obserwują mieszkanie do tej pory. Bez efektu.

Jakaś natrętna myśl, jak dokuczliwy ból zęba, plątała mi się po mojej skołatanej głowic.

— Coś mi tutaj nie gra... — mruknąłem.

Warkot silnika w śmigłowcu przypominał mi wiertarkę początkującego dentysty. Kiedy wylądowałem wreszcie w Warszawie, łeb mi pękał i ograniczyłem się tylko do załatwienia kilku najważniejszych spraw. Wtedy moje marzenia grawitowały wokół kąpieli i odpoczynku. Zrealizowałem je zresztą bez żenady.

— Eureka! — zawołałem. — Powrót z podróży kojarzy się zawsze z rozpakowaniem bagaży, kąpielą, odpoczynkiem, przebraniem się i tysiącem podobnych czynności. Alicja Wójcik wracała

nocą i musiała wpaść do domu. Przynajmniej na chwilę. Nie masz pojęcia, ile trzeba czasu, aby kobieta przebrała się i zrobiła na bóstwo. Pani Wójcik nie jest wyjątkiem. Logiczne? — Gdyby mnie ktoś zapytał o opinię na temat: jak kobieta powinna się ubierać, odpowiedziałbym, że przede wszystkim szybko.

— Logiczne — odparł sceptycznie Szemiot. —. Ale w Warszawie jest kilkadziesiąt tysięcy mieszkań. Wcale nie musiała wracać do swojego. Mogła zostać u typka, który ją przywiózł, no nie?

— Mogła...

— Stary, gonisz w piętkę. Nie wróciła do domu i cześć pieśni. Diabli wiedzą, gdzie teraz przebywa. Jej sprawa i nic nam do tego. Przecież nie wyślemy za nią listów gończych!

— Pięknie. Ale musiała się przebrać, zrobić makijaż, bo ja wiem co... W urlopowych ciuchach i nie umalowana wstydziłaby się pokazać w pracy.

— Dlatego się nie pokazała — wywnioskował Szemiot. — Logiczne.

Było to rzeczywiście logiczne, ale przecież mogła zaspać, mogła źle się czuć po nie przespanej nocy... sam nie wiem, co jeszcze... Ale jedno mogła na pewno: zatelefonować do zakładów, że nie przyjdzie. Pracownica o takiej opinii, wezwana specjalnie z urlopu, wracająca w pośpiechu nocą, zawiadomiłaby kogokolwiek, że nie stawi się do pracy. Telefony też są dla ludzi.

Powiedziałem o tym Szemiotowi.

— Nie wiem, stary... To już jest wyższa filozofia. Zrobiliśmy co trzeba — odparł zniecierpliwiony. — Rozmawialiśmy nawet z sąsiadami... Owszem, jedna babina, wiesz, taka co uwielbia wtykanie nosa w sprawy innych, opowiedziała, że w nocy u Alicji odbywała się orgia i hałasowano do rana. Cytowała również odpowiednie fragmenty z dekalogu i straszyła rozpustnicę ogniem piekielnym...

Zrobiło mi się nagle duszno. Noc była parna.

Wykręciłem numer wewnętrznego telefonu.

— Stasiu — poprosiłem oficera dyżurnego — postaw na nogi techników. Skom-binuj też dobrego specjalistę od otwierania zamków. I lepiej niech się spieszą. Od nas jedzie Szemiot. Wszystko.

Szemiota zaskoczył nieco ten nagły przypływ energii.

— Dobra — powiedział ruszając do drzwi — zobaczymy. Ale może się mylisz...

— Chciałbym się mylić — odparłem.

23

Spojrzałem na zegarek: dwudziesta trzecia dwadzieścia. „Muzykorama” pewnie już się skończyła, pomyślałem z rezyg-nacją, bowiem odezwał się we mnie miłośnik talentu Maryli Rodowicz.

Przez chwilę toczyłem walkę wewnętrzną. czy zająć się pracą, czy dać na dziś spokój, ale zwyciężyła rutyna i rozłożyłem papiery. Interesował mnie meldunek przekazany dalekopisem zaczynający się mniej więcej w te słowa:

+ + + widr 75/13 + + + pilne + + + tajne

w załączeniu przekazujemy numery samochodów osobowych, który ch kierowcy dopuścili się przekroczenia przepisów drogowych na interesującej was trasie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nadmieniam, ze nie prowadziliśmy żadnej specjalnej akcji. a załączony rejestr jest wynikiem rutynowanej pracy patroli służby drogowej. + + +

+++ jerzy olech, porucznik ++ proszę potwierdzić odbior przyjęłam

Z.H. + ++

Dalej widniała, długa jak soliter, lista numerów rejestracyjnych samochodów, których kierowcy udowadniali w praktyce celowość istnienia milicji drogowej i PZU. Kolumny cyferek przypominały jakieś upiorne zadanie ze statystyki teoretycznej, szybko więc zniechęciłem się do tej lektury. Postanowiłem dać tę łamigłówkę do rozwiązania podporucznikowi Bartnikowi. Ostatecznie musi nabierać doświadczeń w milicyjnym fachu — rozgrzeszyłem się w myślach.

Tymczasem podporucznik pojechał złożyć wizytę dziewczynie, którą poznałem w Sali Kongresowej.

Barbara Chomicz istniała dokładnie od dwudziestu pięciu lat i posiadała najzupełniej zwyczajną biografię. Z zawodu była laborantką medyczną, a prywatnie, od dłuższego czasu, dziewczyną Brzozowicza. Właśnie to jej listy znaleźliśmy w mieszkaniu magazyniera i o jej stroju wyrażała się krytycznie żona dozorcy.

W drodze do komendy pani Barbara nie zadawała pytań. Aby złagodzić zaskoczenie i przestrach uprzedziłem, że wszystko wyjaśnię na miejscu i tyle było całej rozmowy.

W komendzie, po dokonaniu wzajemnej prezentacji, wyjaśniłem powód, dla którego oboje nie wysłuchaliśmy koncertu Maryli Rodowicz.

Spytałem:

— Skąd miała pani bilet na „Muzyko-ramę”?

Na jej twarzy zobaczyłem jak w kolejnych kadrach filmowych: zdziwienie, zdenerwowanie, a potem niepokój. Trwało to kilka sekund, może nawet dłużej.

— Dostałam od Ryśka... — powiedziała cichym głosem i zaraz się poprawiła — ...od Ryszarda Brzozowicza. To mój chłopak...

Wiele osób siedziało już na tym samym krześle i odpowiadało na pytania. Słyszałem wiele bajeczek, historyjek zmyślanych na poczekaniu i finezyjnie przygotowanych kłamstw. Sprawdzanie tych opowieści kosztowało nas niejednokrotnie wiele wysiłku. Barbara Chomicz też mogła odpowiedzieć, że bilet kupiła, że guzik nas obchodzi. kiedy i na jaką imprezę się wybiera. Mogła wymyślić na poczekaniu setki prawdopodobnych wymijających odpowiedzi. Sam nie wiem, ile.

Ale powiedziała prawdę. Zwyczajnie i po prostu.

— Rozumiem — powiedziałem uprzejmie. Chciałem, by się trochę uspokoiła.— Sam go pani dał?

— Nie, przysłał w liście... Przepraszam, że pytam, ale czy coś się stało?

Ta chwila musiała nadejść. Było mi szczerze żal tej nieśmiałej, zdenerwowanej dziewczyny, ale od początku grała ze mną uczciwie i nie mogłem wykręcać się od wyjawienia tragicznej prawdy. Może dlatego, że była to dla niej wiadomość tragiczna.. Przede wszystkim dlatego.

Rozpłakała się. jakby pękły nagle napięte struny nerwów. Opanowywała się dotychczas kosztem ogromnego wysiłku woli. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak wielki był to wysiłek. Dławiła płacz w gardle, ale nie umiała powstrzymać łez.

Milczałem. Zresztą co właściwie można powiedzieć w takiej sytuacji? Czy słowa pociechy albo współczucia, wypowiadane przez obcego człowieka, mogą mieć jakiekolwiek znaczenie?...

— Przepraszam — powiedziała — ale jakoś tak... Wiedziałam, że w coś się wplątał. Domyślałam się... Stał się jakiś tajemniczy, zaczął mieć sekrety, nie chciał mi powiedzieć, skąd ma tyle pieniędzy... Mówił, że nie znam się na interesach i że robi to wszystko dla mnie. Często powtarzał, że nic chce mnie martwić... Zawsze był dla mnie bardzo dobry...

Opowiedziała, że dwa tygodnie temu Brzozowicz przyniósł jej staroświecki kuferek z okuciami.

Oświadczył, że jest to pamiątka rodzinna i nie chce jej trzymać w domu, bo często wyjeżdża. Dodał też, że ma pewne kłopoty w fabryce i być może będzie musiał wyjechać na jakiś czas. Dziewczyna nalegała, aby zwierzył się jej z kłopotów, ale nie zrobił tego.

— Wróciłam dzisiaj późno z dyżuru, znalazłam w skrzynce list i bilet na „Mu-zykoramę". Napisał, żebym koniecznie przyszła, że wszystko mi wyjaśni... Zrozumiałam, że coś się stało i chce się ukryć w tłumie. Dlatego poszłam do Sali Kongresowej, choć byłam bardzo zmęczona...

— Musi pani wrócić do domu i odpocząć — powiedziałem. — Porucznik Bartnik odwiezie panią. Proszę przekazać mu ten staroświecki kuferek i dzisiejszy list. To ważne.

- Ale nie wiem, czy mogę...

— Pani Barbaro. W tym kuferku nie ma pamiątek rodzinnych. Są w nim, jak się domyślam, książeczki PKO, dewizy i kosztowności. Musimy je zabezpieczyć do dyspozycji prokuratora, dlatego zdeponujemy u nas. I jeszcze jedno. Ryszard Brzozowicz popełnił przestępstwo gospodarcze. To przykra dla pani wiadomość, lecz prawdziwa. Ryszarda Brzozowicza zamordował człowiek, który dotychczas pozostaje na wolności; który zorganizował całą aferę. Prawdopodobnie właśnie ten człowiek namówił pani chłopaka do udziału w przestępstwie. Muszę znaleźć mordercę, dlatego proszę panią o pomoc. Bardzo o to proszę.

— Ale nie wiem, w jaki sposób mogłabym... Owszem, kilkakrotnie wieczorem rozmawiał z kimś przez telefon. Odpowiadał monosylabami, tak jakby słuchał poleceń, przynajmniej takie odnosiłam wrażenie. Tydzień temu, mniej więcej tydzień temu, umówił się ze swoim rozmówcą. Zdziwiłam się, gdy wyjaśnił, że rozmawiał z dyrektorem. Chodziło o jakąś transakcję z przędzą.

— Dlaczego się pani zdziwiła?

— Bo umówił się na wyścigach konnych, na Służewcu. Rysiek bardzo lubi konie...

Powiedziała „lubi", a nie „lubił". Dużo jeszcze upłynie czasu, zanim przyzwyczai się mówić i myśleć o swoim Ryśku w czasie przeszłym. Może nawet w ogóle się nie przyzwyczai?

Kiedy pojechała z Bartnikiem do domu, przyszło mi na myśl, że czasem jestem zbyt jednostronny w ocenianiu ludzi. Ryszard Brzozowicz był dla mnie tylko poszukiwanym przestępcą. Ale ani przez sekundę nie pomyślałem, że jest on człowiekiem przez kogoś kochanym i że może kogoś kochać... Rzadko nachodziły mnie podobne refleksje.

Żegnając Barbarę Chomicz poradziłem jej, żeby starała się odpocząć, zasnąć i zapomnieć o wszystkim. Genialne rady, kapitanie Morski, nie ma co!

Powiedziała: — Są sprawy, o których nie można zapomnieć, proszę pana...

To prawda. Są takie sprawy.

24

Kuferek rzeczywiście był staroświecki, z potężnymi okuciami i ogromnym zamkiem. Sam już miał niemałą wartość w naszych czasach, gdy wróciło zainteresowanie antykami i starociami. Zdeponowaliśmy go w kasie pancernej, bo zawierał dokładnie to, co przewidywałem.

— Pięknie — powiedziałem do Bartnika. — Masz listę chemików z „Polmeru"?

— Jasne! — odparł. — Piętnaście osób, każda co najmniej ze średnim wykształceniem chemicznym. Wyeliminowałem tylko dwóch inżynierów. Jeden w delegacji służbowej za granicą, drugi po operacji wyrostka leży w szpitalu. Reszta figuruje w spisie, nawet chorzy i urlopowicze.

— Pięknie — powiedziałem. — Dużo tego.

— Za dużo, żeby cokolwiek wywnioskować.

— Nie martw się. bracie. Poradzimy sobie. Z tej listy wykreśl wszystkie kobiety, a także tych mężczyzn, którzy nie posiadają prawa jazdy. Postaraj się ustalić, kto wśród pozostałych dysponuje własnym samochodem. Obok każdego nazwiska wypisz markę i numer rejestracyjny auta. A ostateczny rezultat porównaj z tą listą...

Podałem Bartnikowi meldunek dalekopisowy. Nie ucieszył się przesadnie.

— Dobra — westchnął. — Ale jeżeli nawet coś z tego wszystkiego wyniknie, to nie będzie żaden dowód.

— To nie będzie żaden dowód — zgodziłem się — ale to nam może ułatwić szukanie dowodów.

— No, stary — Bartnik zerknął na zegarek — godzina duchów. Idę trochę pomieszkać. Cześć pracy!

Dokładnie w tej samej sekundzie, gdy podporucznik zniknął za drzwiami, rozdzwonił się telefon.

— Tak, słucham — mruknąłem.

— Jesteśmy w środku — usłyszałem w słuchawce głos Szemiota.

— I co?

— Przyjedź i zobacz — powiedział.

— Znalazłeś coś?

— Przyjedź i zobacz — powtórzył z naciskiem.

Nie musiałem jechać i oglądać. Wiedziałem już, co porucznik znalazł w mieszkaniu Alicji Wójcik.

25

Poranna odprawa u szefa odbywała się w atmosferze rzetelnej pracy.

— Zasuwa była zamknięta od wewnątrz — mówił chorąży Wojnowski. — Denatka sama zamknęła drzwi. Inna możliwość jest wykluczona.

Ekipa sierżanta Janickiego miała wczoraj wolny dzień, a dyżur pełnił właśnie chorąży Wojnowski, niski, drobny mężczyzna o nerwowych ruchach. Nie byłem z tego powodu zadowolony. Przyzwyczaiłem się do współpracy z sierżantem Janickim. Zależało mi na jego współpracy. Ale nie miałem wyboru.

— Kiedy weszliśmy do środka — relacjonował Szemiot — zwłoki Alicji Wójcik leżały w kuchni na podłodze. Na jednym z palników kuchenki gazowej stał rozżarzony aluminiowy garnek.

— Przyczyna zgonu? — spytał szef.

— Zatrucie jakąś substancją chemiczną

— stwierdził chorąży. — Około szóstej rano. Zebraliśmy też odciski palców, ale brak materiału porównawczego.

Pułkownik bez słowa przycisnął guzik interkomu.

— Sierżant Janicki, natychmiast! — zadysponował.

Chorąży, słysząc to, skrzywił się jak po wypiciu duszkiem szklanki octu. Nie przepadał za Janickim, podobnie jak i sierżant za nim. Rozmowy służbowe obu speców przypominały dyskusje Napoleona z szam-belanem Walewskim. Równie łatwo panowie dochodzili do porozumienia.

— Sierżant nie jest wprowadzony w sprawę... — zaczął chorąży, ale pułkownik był zniecierpliwiony.

— Więc będzie!... Co jeszcze, chłopcze?

— zwrócił się do Szemiota.

— Dokumenty in blanco na wywóz przędzy, przepustki wewnątrzzakładowe... No i to, co zawsze: biżuteria, dewizy i książeczki PKO...

Minęła epoka ukrytych sejfów, tajemniczych skrytek i zakopywania skarbów. Współcześni przestępcy z całym zaufaniem lokują swoje pieniądze w PKO.

— Ponadto — dodał Szemiot — pani Wójcik była sentymentalna. W albumie przechowywała zdjęcia kilku panów. Jednego znamy.

Położył na stół fotografię pocztówkowego formatu. Nobliwie uśmiechający się mężczyzna pokazywał zęby, niczym z reklamówek past „Polleny". Na odwrocie fotki widniała czuła dedykacja: „Najmilszej Ali za cudowny wieczór w «Krokodylu» — Andrzej".

— Wicedyrektor „Polmeru", Andrzej Wolański — wyjaśniłem.

— Są również listy... — rzekł Szemiot.

— Dobra. Zostawcie ten kram z drobiazgami — mruknął szef. — Wnioski.

— Samobójstwo albo wypadek — zaopiniował Wojnowski. — Coś gotowała

i zatruła się.

— Pewnie nazbierała na urlopie grzybów — zauważyłem.

Pułkownik spiorunował mnie wzrokiem, ale wszedł właśnie sierżant Janicki i stanął w regulaminowej postawie przed zwierzchnikiem. Szef machnął zniecierpliwiony ręką i wskazał. Janickiemu krzesło.

— Drzwi zamknęła denatka — chorąży obstawał przy swojej wersji. — Nikt nie mógł się dostać do mieszkania Lez jej zgody. To chyba jasne, obywatelu kapitanie.

— Dostał się za jej zgodą — wtrącił Janicki. — Przeprowadziłem rano dodatkową analizę. Na podłodze wyraźne ślady męskiego obuwia numer dziewięć. Spek-trofotometryczne badanie pyłu wykazało w śladach obecność mikrocząsteczek poszycia leśnego i oleju „Selectol special" używanego do polskich fiatów.

Janicki musiał dosłownie stawać na głowie, aby uzyskać te wyniki w ciągu kilku godzin. Pułkownik Gonczar też widocznie pomyślał coś w tym stylu, bo uśmiechnął się i nawet nie spytał Woj-nowskiego, dlaczego on nie przyniósł podobnych rewelacji.

— Nie widzieliśmy potrzeby robienia takich analiz — bąknął na swoje usprawiedliwienie chorąży. — Sprawa wydawała się jasna. *

— Sceptycyzm jest cenną cechą — skomentował wypowiedź pułkownik — ale nie wtedy, gdy wynika z niechęci do ponoszenia wysiłku. Co jeszcze, sierżancie?

— Rozmawiałem przed chwilą z doktorem. Przyczyną zgonu jest zatrucie kwasem pruskim.

— Samobójstwo możemy od razu wykluczyć — odezwał się Szemiot. — Nieprawdopodobne psychologicznie. Alicja Wójcik, nie po to pędziła nocą do Warszawy, aby odebrać sobie życie. Znaleźliśmy ją leżącą na podłodze w kusym szlafroczku. Śmierć zaskoczyła ją w trakcie przebierania się.

— A nieszczęśliwy wypadek? — obstawał przy swoim Wojnowski. — Kwas pruski można wytworzyć z pewnego preparatu. Trzeba zalać preparat wodą i zagotować. Stąd rozżarzony garnek na kuchence.

— Pięknie — powiedziałem. — A skąd miała preparat? Nikt go nie rozdaje na ulicach... Chyba znowu pomógł jej nasz chemik.

— Chyba jej pomógł — zgodził się szef. — Ale to akademicka dyskusja. Afera jest praktycznie zlikwidowana, a dwukrotny morderca i podpalacz chodzi spokojnie po świecie.

Niedobrze, chłopcy...

Sierżant Janicki, który przyglądał się właśnie fotokopiom odcisków palców, włączył się niespodziewanie do rozmowy.

— Z podpaleniem to dość zawiła historia. Przez dwa dni szukaliśmy śladu w tym bałaganie po pożarze. I coś znaleźliśmy. Urządzenie zapalające było zdalnie sterowane.

Popatrzyłem na sierżanta jakby nagle oświadczył, że w „Polmerze" wystrzelono rakietę kosmiczną.

— Co to znaczy? — szef byl wyraźnie zaintrygowany.

— Ten chemik zainstalował urządzenie dużo wcześniej. Włączył je w obwód prądu, zasilającego żarówkę nad drzwiami przybudówki. Wieczorem w zakładach zapalono oświetlenie, płynący prąd uruchomił magnetyczny zacisk pojemnika z kwasem. Po kilku godzinach kwas przeżarł dno pojemnika i zaczął się fajerwerk. Tyło.

— Zainstalował dużo wcześniej... to znaczy kiedy? — spytałem.

— Sądząc z korozji blach... jakieś dwa, trzy tygodnie. Dlaczego więc pożar nie wybuch! wtedy, prawda? Otóż obwód prądu musiał być zamknięty żarówką. Palącą się żarówką. Pytałem zakładowego elektryka. Nad drzwiami przybudówki była oprawka, ale nikt nie widział potrzeby oświetlania wejścia do tego drewnianego baraczku, który i tak miano rozebrać. W dniu pożaru elektryk otrzymał polecenie, aby wkręcić żarówkę. Pamięta to dobrze... Nazajutrz dowcipkował, że szkoda było się męczyć, bo i tak wszystko szlag trafił. Tyle.

— Nasz chemik umie myśleć perspektywicznie — zauważyłem. — Już przed miesiącem rozważał możliwość spalenia magazynu.

— Trzy tygodnie temu — sprostował Szemiot. — Mniej więcej wtedy, gdy zasugerowaliśmy zjednoczeniu przeprowadzenie pierwszej kontroli.

— Pięknie — podsumowałem. — Przygotowywał się do zatarcia wszystkich śladów.

— A teraz zaciera je tak dobrze — powiedział ironicznie pułkownik — że nie wiemy, kim jest. Zaraz... Kto kazał elektrykowi wkręcić... tę żarówkę?

— Wolański — sucho odparł sierżant.

— Już po raz drugi mamy dzisiaj na tapecie pana dyrektora — dodałem swój komentarz.

— Po raz czwarty — sprostował Janicki. — W pawilonie nad jeziorem znaleźliśmy odciski jego paluszków. A te... w mieszkaniu pani Wójcik też on zostawił. Identyczność linii papilarnych widać nawet połową oka. Tyle.

— Zdejmujemy Wolańskiego? — spytał rzeczowo Szemiot.

26

Przed trybunami przedefilowało kilka koni uczestniczących w najbliższej gonitwie. Prowadził kawalkadę jeździec przystrojony w weselną szatę ubogiego Be-duina.

— Co to za maskarada? — spytałem.

— Będą startować araby — wyjaśnił wywiadowca, przyglądając się z miną znawcy pięknym rumakom.

Rzeczywiście był ekspertem od spraw wyścigów. Od dłuższego czasu rozpracowywał środowisko graczy na służewieckim torze. Ale to jego sprawa, którą ani przez chwilę nie mogłem się interesować. W milicji każdy ma swoje pólko do zaorania. Znałem tylko jego kryptonim — „dwie szóstki" — którym sygnował swoje raporty. Użycie w rozmowie z nim tego kryptonimu było znakiem rozpoznawczym, że mam prawo prosić go o pomoc.

— Cześć, stary! — wykrzyknął wesoło na czyjeś pozdrowienie. — Walczę, a jak!

Miał tu wielu znajomych, choć żaden z nich nie podejrzewał, jaką tu rzeczywiście odgrywa rolę ich kumpel z toru wyścigowego. „Dwie szóstki" orientował się w służewieckich zwyczajach jak mało kto i czuł się na trybunach nad wyraz swobodnie, czego nie powiedziałbym o własnej osobie.

— Niech pan zaryzykuje i postawi — zaproponował. — Debiutanci mają szczęście.

Poszliśmy do kas. Zaryzykowałem stówę typując porządek „jeden pięć", co oznaczało, że przewidywałem zwycięstwo konia numer jeden przed koniem oznaczonym cyfrą pięć. Nie muszę dodawać, że takie typy podsuną! mi mój towarzysz. Oczekiwanie na start skracało mi jego opowiadanie.

— Ciekawe rzeczy dzieją się na Służewcu. Ciekawi ludzie tutaj bywają. Gra wciąga, staje się czasem życiową pasją... Ludzie opowiadają o wygranych fortunach, ale potrafią szybciej stracić masę pieniędzy. O!... Ten grubasek w kurtce. Stały bywalec. Przegrywa tutaj forsę zarobioną na szczypiorku. A tamten facet był kiedyś księgowym. Wygrał dużo, potem jeszcze więcej przegrał i starając się odegrać zostawił tu, na wyścigach, całą kasę jakiejś spółdzielni. Kilka lat odsiadki i znów jest na torze. Teraz próbuje radzić innym... Niech pan sam zobaczy, ilu chętnych doradców kręci się koło kas. Szukają „jeleni''. Każdy powie panu, że ma znajomości w stajni, że wie, jakie będą układy... Nie za darmo, oczywiście. O kantach mógłbym panu opowiadać bez końca, jak każdy bywalec toru... Dużo tu cwaniaczków, bukmacherów i nawet doliniarzy. Sporo mamy roboty, kapitanie. O. już poszły!

Konie wystartowały po przeciwległej stronic toru.

— Niedobrze — skrzywił się wywiadowca, gdy „jedynka" i „piątka" wysunęły się na czoło stawki.

— Dlaczego?

— - Mogą spuchnąć na finiszu.

Dookoła zdenerwowani gracze obserwowali walkę na torze. Gdy konie zaczęły finisz, z trybun odezwał się głośny doping.

No to cześć! — powiedziałem zrezygnowany, gdy zwyciężyła „piątka" przed „jedynką". Szkoda mi było tej setki.

— Idziemy po pieniądze — odparł mój cicerone. — Konie z jednej obory, a więc płacą w obie strony.

Po przekładzie powyższego zdania na ludzki język, dowiedziałem się, że „obora" oznacza stajnię, a płacą nie konie, lecz kasjerki. Nie zrozumiałem wprawdzie, dlaczego zwyciężyłem typując

porządek dokładnie odwrotny, ale nie muszę wszystkiego rozumieć. Za swoją setkę otrzymałem w kasie cztery i byłem zadowolony. bo banknoty wyglądały na autentyczne.

— Będę wpadał do pana przed pierwszym — powiedziałem. — Pięknie.

Wywiadowca pokazał mi eks-księgowe-go, który podnosił z ziemi wyrzucone kupony.

— Nazywają go na torze „szakal". Nie każdy wie, że wypłata obejmuje porządki w obie strony i on poszukuje dobrych odcinków. Czasem trafia na tym parę złotych. Jest chwila przerwy, chodźmy na bok, pogadamy.

Pokazałem mu zdjęcie Brzozowicza.

— Bywał na torze, znam go z widzenia, ale ostatnio go nie widziałem.

— I już go pan nie zobaczy. Ale interesuje mnie facet, z którym on przychodził. Czy to jeden z tych?

Z pokazanych zdjęć wywiadowca wybrał jedno.

— Ten, kapitanie, oczywiście, że ten. Ale nic o nim nie wiem. Nie miałem poleceń w jego sprawie. To wszystko. Przykro mi, ale nic więcej nie wiem.

— Wystarczy — podziękowałem, bo wreszcie wszystkie klocki łamigłówki pt. „Pajęczyna" ułożyły się we właściwym porządeczku.

Mogłem teraz spokojnie porozmawiać z Andrzejem Wolańskim.

Mieliśmy sobie dużo do powiedzenia.

27

Milczący głośnik rozgaworzył się nagle przyjemnym altem:

— Uwaga! Pasażerów odlatujących do Berlina, Amsterdamu i Londynu uprzejmie proszę o załatwienie formalności paszportowych i celnych. Dziękuję... Attention please! Passangers flying to Berlin, Amsterdam and to London...

Kierownik placówki celnej nie wyglądał na przekonanego.

— Pan rozumie... W takich okolicznościach...

— Właśnie w takich — powiedziałem.

— W każdych.

Poparł mnie dyżurny oficer WOP i po minucie obserwowaliśmy podróżnych. Interesował nas jeden z potencjalnych pasażerów. szczupły mężczyzna w okularach, dźwigający walizkę rozmiarów czołgu i małą torbę podróżną.

Zgodnie ze scenariuszem kontrola paszportowa minęła bez kłopotów, a celnik nawet nie zaglądał do jego bagażu. Pasażer w okularach odetchnął z ulgą i przeszedł do poczekalni. Usiłował ukryć zdenerwowanie, ale czynił to tak nieudolnie, że każdy celnik w normalnych warunkach przetrząsnąłby mu bagaż co do atomu.

Ale to nic były normalne warunki. Oprócz nas, zdenerwowanego pasażera obserwował jeszcze ktoś stojący na balkonie dla odprowadzających. Cała zabawa z pobieżnymi kontrolami potrzebna była po to, aby ów prywatny obserwator odjechał uspokojony, że wszystko skończyło się dobrze. Tak wyglądał scenariusz operacji.

Wreszcie wywiadowca z obstawy dał nam umówiony znak. Ów dodatkowy obserwator odjechał kryjąc radość w sercu. Gdyby wiedział, co wydarzyło się na lotnisku po jego odjeździe, miałby mniej powodów do zadowolenia.

Do siedzącego w poczekalni pasażera w okularach podszedł oficer WOP i dyskretnie poprosił

go do pokoju obok. Jednocześnie celnicy zaopiekowali się bagażem właściciela okularów. Poszedłem za nimi.

Celnik, którego kierownik urzędu polecił jako eksperta od schowków, spytał mnie, czego szukam.

— Znaczków pocztowych — wyjaśniłem.

Celnik szybko udowodnił, jak bardzo słuszna była opinia jego zwierzchnika. Przyjrzał się sceptycznie torbie, odstawił ją na bok i z piekielną wprawą zaczął rozbebeszać walizkę. Wyłożył zawartość na stół i obejrzał wnętrze sakwojażu. Namyślał się kilka sekund, nie dłużej. Potem ze zręcznością iluzjonisty wyjął długi metalowy pręt, przytrzymujący jedną zc ścianek, ścianka walizki odchyliła się ukazując nie tyle podwójne dno, ile podwójny bok walizki.

— W gruncie rzeczy to dziecinny schowek — skrzywił się celnik z dezaprobatą.

— Znaleźlibyśmy od razu. Facet zwracał na siebie uwagę stanem swoich nerwów.

— Pięknie — powiedziałem z uznaniem. —- Dwie minuty i wszystko wiemy... Chodźmy do właściciela tych skarbów.

Już wcześniej wiedzieliśmy o nim dużo. Inwigilacja osób zaplątanych w aferę „Pajęczyna" dała pierwszy rezultat. Raport służby „X" stwierdzał, że obserwowany odwiedził dwóch osobników znanych jako handlarzy znaczkami wysokiej klasy. Ponieważ wiedzieliśmy, że ów miłośnik znaczków wybiera się w podróż służbową do Amsterdamu, reszta naszych działań była oczywista.

W pokoju, do którego wszedłem, oficer WOP cierpliwie uspokajał zdenerwowanego okularnika. Tym nerwowym facetem był naczelnik Juliusz Marzec ze zjednoczenia nadzorującego „Polmer".

— Zaraz wszystko się wyjaśni...

— Łatwo panu mówić! Jestem umówiony z poważnym kontrahentem zagranicznym. Mam podpisać umowę na eksport... — wściekał się Marzec.

— Przeprosimy go w pańskim imieniu

— przerwałem jego wynurzenia.

— Co to ma znaczyć?!... A, to pan — poznał mnie Marzec.

Szef celników położył na stole walizkę. W otwartej skrytce znajdowało sic pięć klaserów ze znaczkami, cztery ikony i całkiem pokaźny plik dolarów.

— Pięknie — stwierdziłem z nutką pochwały w głosie. — Nieźle się pan dorobił na współpracy z „Polmerem". Tylko te dolary... Przecież ta waluta spada na łeb na szyję. W czasach inflacji lepiej przemycać...

— To jakaś prowokacja! — zapiał Marzec w tonacji wysokiego „C".

Zważywszy na zawartość walizki próba protestu nic wypadła przekonująco.

Wopista spojrzał na delikwenta prawie z. litością.

— Wszystko wyjaśnimy, panie inżynierze powiedziałem. — Ale pan też będzie musiał to i owo wyjaśnić. Na przykład. kto uprzedzał magazyniera o terminach remanentów. Pan wie.

— Rozumiem — wyjąknął bezładnie Marzec. — Wsypa...

Zaczął od stwierdzenia oczywistej prawdy. To był dobry prognostyk przed naszymi rozmowami.

28

Szemiot ukrył się w łazience, a ja zająłem pozycję za ogromnym regałem z książkami. Nie powiem, żeby była to pozycja wygodna. Sprawdziłem tylko, czy służbowy pistolet sprawnie

wychodzi z kabury pod pachą. Wychodził.

Pozostawało czekać. Czekaliśmy mniej więcej godzinę, porozumiewając się szeptem. Wreszcie w drzwiach mieszkania naczelnika Marca usłyszeliśmy chrobot klucza. Ktoś otworzył drzwi i wszedł do środka. Nie zapalił światła.

Bez zbytecznych ceregieli zaczął chować w szufladzie biurka najróżniejsze papiery. Przekonaliśmy się później, że niczego nie brakowało. Rozliczenia z nielegalnych transakcji, listy od wspólników, dokumenty z „Polmeru", a nawet wyciąg z konta bankowego. A wszystko po to. aby przekonać wścibskiego kapitana milicji, że lecący w tej chwili do Amsterdamu Marzec kierował gangiem złodziei przędzy, zabił dwóch ludzi, podpalił „Polmer"

i uciekł za granicę... Złudne było jego przeświadczenie o tym, że Marzec jest już bezpieczny, podobnie jak utopijna była jego nadzieja, że jest w mieszkaniu sam. Z pośpiechu nie przeszukał lokalu i to był błąd. Nie pierwszy zresztą.

Kiedy zaczął rozstawiać pudełka i puszki z chemikaliami, uznałem, że dalsza zabawa w chowanego nie ma sensu.

— Szkoda talentu — powiedziałem cicho. — Nić to panu nie pomoże.

Przez długą chwilę obawiałem się, że go szlag trafi z przerażenia. Ale wkrótce się opanował i spojrzał na mnie wzrokiem dziecka, które spotkało świętego Mikołaja. Nagle zaczął wyglądać śmiesznie i bezradnie jednocześnie, przedziwnie wzruszająco i rozpaczliwie szczerze. Już raz mnie nabrał na takie triki; był niewątpliwie utalentowanym aktorem. Ale przede wszystkim był mordercą.

— Niech pan zdejmie te rękawiczki. Może pnn zostawić swoje odciski paluszków. To nie ma znaczenia.

— Ja... chciałem sprawdzić u Marca, czy...

— Czy nie ma dowodów przestępstw? A ponieważ nie było, przyniósł je pan ze sobą. Własne dokumenty, prawda?! Dokumenty szefa gangu. Pomysłowe, trudno zaprzeczyć.

— Świetny dowcip, kapitanie — po-wiedział ponuro. — Można skonać ze śmiechu.

— Pan skona w inny sposób. Za dużo było ofiar na pańskiej drodze. Niech pan siada. Podowcipkować możemy i na siedząco.

— Ja mam dowód, że jestem niewinny... — sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Nie radzę wyjmować ręki. Za panem stoi kolega, który strzela prawie tak samo dobrze, jak ja.

Machinalnie odwrócił się i spostrzegł Szemiota trzymającego w ręku pistolet. Powoli uniósł ręce do góry. Sprawnie wyjąłem z jego kieszeni spluwę, z nabojem w lufie i odbezpieczoną. Co prawda, dość starego typu.

— Potrafi się pan zabezpieczyć — stwierdziłem z uśmiechem. Zrozumiał, że przegrał.

— Jedziemy — powiedziałem. — Czekają już na nas.

— Panic kapitanie — spróbował ostatniej szansy — pół miliona na głowę.

— Razem milion — podsumował szybko Szemiot, zakładając mu kajdanki. — Cała masa pieniędzy. Jak w totku.

— Więc jak? — nie ustępował.

— Słyszałem już gdzieś tę płytę — odpowiedziałem — ale nie pamiętam tytułu.

Ruszyliśmy do wyjścia.

— A gdyby pan chciał uciekać... radzę się najpierw pomodlić... — poradziłem.

Ale Wacław Klimowicz, kierownik działu zbytu w „Polmerze", nie miał ochoty na modły.

29

Tym razem na odprawie u szefa miałem dużo do powiedzenia.

— Kiedy uciekł nam Brzozowicz, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było telefoniczne powiadomienie szefa o tym, co się stało. Klimowicz kazał przyjechać magazynierowi do ośrodka wczasowego, a pani Alicja natychmiast zadzwoniła do Warszawy. Poprosiła swego adoratora, Wolańskiego, aby kazał wkręcić żarówkę nad drzwiami przybudówki. Powód podała dość prawdopodobny — zapomniała wykonać polecenie jakiejś kontroli, a spodziewała się, że jutro, właśnie jutro, przyjdzie znowu ekipa kontrolerów i łupną magazy-nierce mandat. Dla Wolańskiego to była drobnostka, zakochany w Alicji nie odmówiłby jej niczego. Elektryk wkręcił żarówkę i urządzenie zapalające, zmontowane przezornie przez Klimowicza wcześniej, zaczęło działać. Tymczasem Brzozowicz przyjechał do Jurowa. Nie wiemy,

o czym panowie rozmawiali, ale znamy efekt spotkania. Klimowicz zabił Brzozowicza i odwiózł Alicję Wójcik do Warszawy. Z trzech osób znających prawdziwą twarz Kilmowicza jedna już nie żyła. A on chciał pozostać w cieniu...

Włączyłem magnetofon. Usłyszeliśmy głos Klimowicza:

— ...rozkleiła się, nie mogła opanować nerwów. Spytałem ją podczas jazdy, co by było, gdyby milicja wpadła na nasz trop. Powiedziała, że nie potrafi kłamać. Pękłabym przy pierwszym przesłuchaniu

— mówiła. — Rób tak, żeby nie było wsypy. Uspokoiłem ją, że magazyn się spalił, a martwy Brzozowicz już nic nie powie. Dostała ataku histerii. Z trudem udało mi się ją uspokoić. Po drodze stanąłem, aby uzupełnić olej w samochodzie. Rozlałem trochę na jej spódniczkę. Potem wstąpiłem do siebie i wziąłem pewien preparat. Obiecałem wyczyścić plamę. Poleciłem nasypać preparat do garnka, zalać wodą i przykryć szczelnie pokrywką aż do wrzenia. Powiedziałem, że kiedy preparat się zagotuje, będzie mogła nim usunąć plamę i że po zagotowaniu ma piękny zapach... Zamknęła za mną drzwi na zasuwę, tak jak prosiłem i miała otworzyć mi, gdy wrócę. Mieliśmy razem pojechać do fabryki...

Zatrzymałem taśmę. Drażnił mnie cynizm Klimowicza.

— A pojechał do Jurowa — wtrącił Bartnik. — Patrol drogowy zanotował numer jego fiata, Klimowicz przekroczył dozwoloną szybkość. Zresztą ta analiza odsunęła podejrzenia od Wolańskiego. Nigdy wicedyrektor nie miał samochodu, ani nawet prawa jazdy. Wystarczał mu wóz służbowy. No i Wolański, jak sprawdziliśmy. nie miał nic wspólnego z chemią, a Klimowicz był dyplomowanym chemikiem.

Podjąłem relację.

— Klimowicz przyjechał do ośrodka wczasowego, gdy śledztwo trwało. Marzec

i Gródecka zapewnili mu alibi. Kłamali zresztą zupełnie świadomie, bo jednocześnie chronili samych siebie — w nocy Gródecka zdradzała męża właśnie z Marcem... Kiedy wrócił Klimowicz, ta plotkarka opowiedziała mu, co się dzieje, i błagała o podtrzymanie w rozmowach z milicją wersji o wspólnym brydżu. Klimowicz nie miał oczywiście nic przeciwko temu. Wziął od Gródeckiej lornetkę, przez którą ta gęś obserwowała mnie rano, i odegrał całą komedię z podglądaniem dziewcząt. Śledziłem go, nie wiedząc, że wystawia mnie do wiatru. Potem opowiedział wzruszającą historyjkę o swej ciężkiej doli i sprytnie skierował podejrzenia na Wolańskiego. W pawilonie, w mieszkaniu Wójcik pełno było jego odcisków palców, bo często tam bywał, często odwiedzał Alicję zakochany dyrektor. Stanowi! dla aferzystów coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej...

— Przestudiowaliśmy teczki personalne

— dodał Bartnik. — Wolański na prośbę Alicji awansował ludzi, którzy jej pomagali. Nieświadomie wspierał poczynania szajki. Prawie bezinteresownie, jeżeli nie liczyć wdzięków pani Alicji.

— Dałeś się nabrać na zeznania Klimowicza, syneczku — zauważył pułkownik.

— Zrobił ze mnie idiotę — przyznałem bez żenady. — Myślałem, że lepiej znam ludzi. Nawet mu wtedy współczułem... A wracając do sprawy... Po śmierci Alicji Wójcik już tylko jedna osoba wiedziała, kim zacz jest magister Klimowicz.

— Marzec.

— Tak. Naczelnik przestraszył się. zakupił za cały swój majątek znaczki, ikony

i dewizy i próbował zwiać za granicę, wykorzystując za pretekst wyjazd służbowy. Klimowicz obserwował Marca na lotnisku

i kiedy Marcowi udało się przejść bez kłopotów przez kontrolę celną, pojechał do jego mieszkania, aby podrzucić dowody własnych przestępstw... Klimowicz potrafił zwalać winę na innych i pracować cudzymi rękami. A konspirował się doskonale. Jego własny zastępca, Kołodziejczyk, nawet się nie domyślał, że pogardzany przez niego facet, którego ochrzcił w fabryce „skleroza”, jest szefem gangu. I że Kołodziejczyk pośrednio słucha poleceń owego „sklerozy”...

— Dobra — powiedział nieskory do pochwał pułkownik. — Wasz udział w sprawie już się skończył. Dochodzeniówka załatwi resztę. Postaram się dla was załatwić kilka dni urlopu, ale nie obiecujcie sobie zbyt wiele...

Przyszło mi na myśl, że warto by wpaść na te kilka dni do Jurowa. Pogoda nadal była pierwszorzędna.

30

Zadzwoniłem do dziewczyny:

— Pójdziemy do kina, pyszczku — spytałem.

— Masz czas? — zdumiała się.

— Nawet kilka dni. Zrobimy mały wy-padzik w teren. Na świeże powietrze. Mam taką dobrą metę... A co z tym kinem, pyszczku?

— Idą dwa dobre filmy. Francuski dramat miłosny, bardzo liryczna, poetycka historia i amerykański „czai'ny” kryminał...

— Pięknie — powiedziałem. — Pójdziemy na kryminał, pyszczku.

Nie miałem ochoty oglądać poetyckiego dramatu produkcji francuskiej, a także jakiejkolwiek innej.

Wspominałem przecież, że nie mam poetyckiej duszy.

KONIEC

Table of Contents

7
16
26